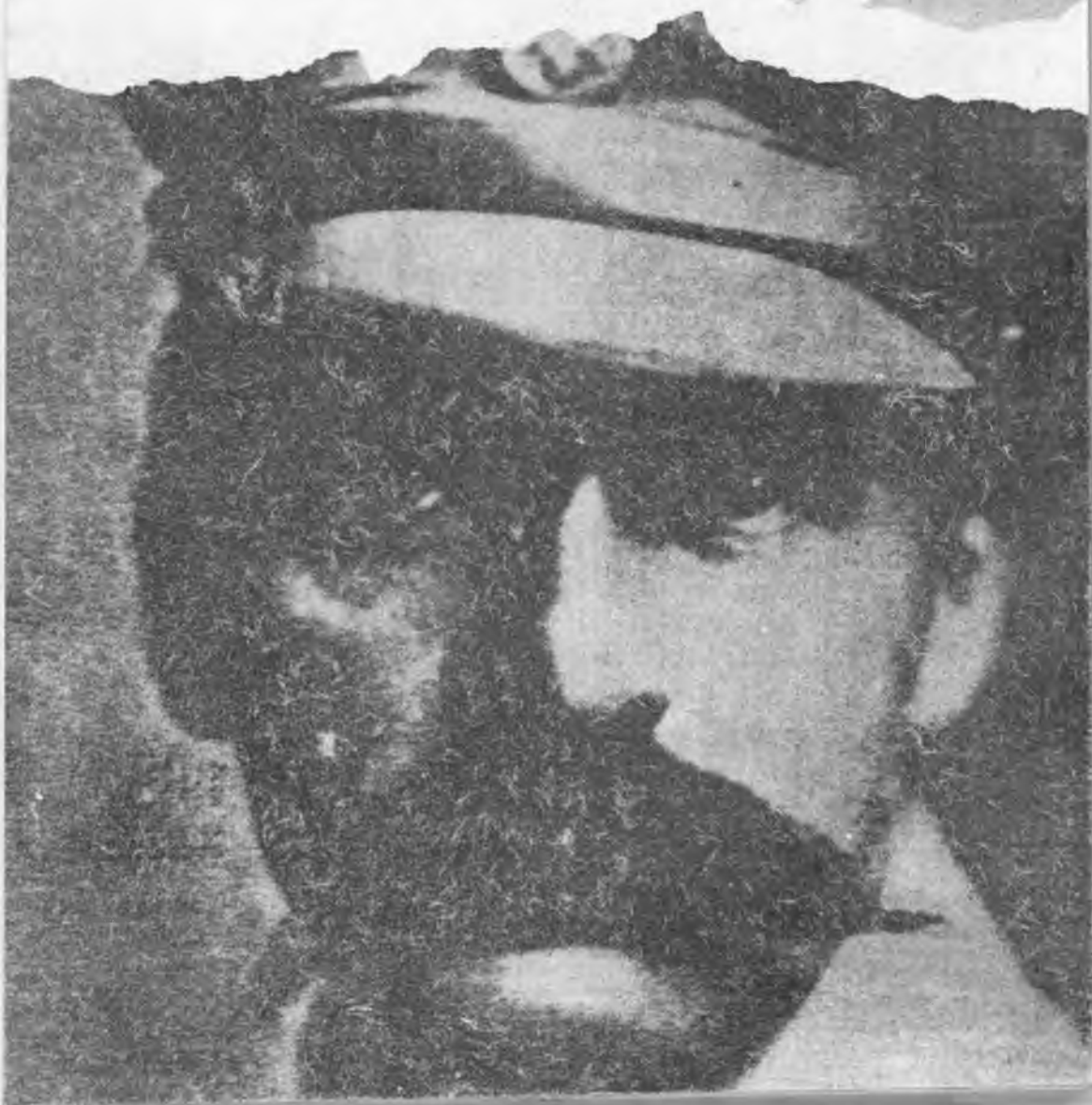


Dyskusja

Biuletyn Wojewódzkiego
Dому Kultury Nr. 3
(118)

1989 rok.





Drawn by Leo Esch



Dyskusja

BIULETYN WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY w BIAŁYMSTOKU

W NUMERZE:	str.
Zbigniew Waydyk — Fraszki	2
70 ROCZNICA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI	
EWA PANKIEWICZ — Białystok stał się niepodległy 19 lutego 1919 r.	3
JAN SNOPKO — Umowa Białostocka z 5 lutego 1919 r.	7
KAZIMIERZ MAKSYMILIAN DERKOWSKI — Rok 1918 w Pomygaczach	10
ADAM DOBRŃSKI — Józef Piłsudski w Białymstoku	14
ALI MIŚKIEWICZ — Aleksander Sulikiewicz — rówieśnik i przyjaciel Józefa Piłsudskiego	22
KRZYSZTOF FILIPOW — Metropolita Edward Ropp i jego odznaka „Za Ojczyznę”	25
JAN LEOŃCZUK — Wydobyte z pamięci	29
JERZY TARTAK — Był Ritz, nie ma nic	33
POLEMIKI	
KAZIMIERZ DERKOWSKI — Kto może pracować w kulturze	38
TWARZE JAZZU	
KRZYSZTOF OSTASZEWSKI — Jego gra miała pełny oddech i relaks	40
Świat, człowiek, prawo	
KAZIMIERZ KONOPKA — Zakładowe zespoły gospodarcze	44
RADA PROGRAMOWA	
Kazimierz Derkowski, Jan Szacillo, Krzysztof Ostaszewski	
WYDAWCA:	
Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku, ul. Kilińskiego 8	
Redaktor naczelny — Iwona Wąsowicz-Szczepaniak	
Redaktor graficzny — Andrzej Dworakowski	
Redaktor techniczny — Jan Szacillo	
Współpraca — dr Ali Miśkiewicz,	
współpraca i konsultacja historyczna — doc. dr hab. Adam Dobroński	

FRAZOKO

Niepodległościowy krój

Na pikielhauby, papasze, oficerskie czaka,
Maciejówki, rogatywki! — odpowiedź była Polaka

Kierunkowskaz nadziei

Trzymaj się wschodniej ściany!
Tu narodu najdroższe, najżywsze kurchany

Nieosiąganie pułapu

Naród i dziś bitny,
Ale gdzie mu do bitności Krechowiec, Rokitny!

Niepewność zmartwychwstania

Czy w zmartwychwstanie narodu wiara nasza
Nie jest czasami wiarą Tomasza?

Powie...

Powie cynik: po co tyle o niepodległości krzyku?
I tak wszystko w geopolitycznym rozegra się szlemiku

Granice zabawy

Niepodległością bawić się można,
Byle na hegemonów nie trafić różna

Zbigniew Waydyk



70 ROCZNICA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

BIAŁYSTOK STAŁ SIĘ NIEPODLEGŁY 19 LUTEGO 1919 ROKU

Ponad sto lat naród polski czekał na niepodległość. W beznadziejnej, zdawałoby się, sytuacji stopniowo narastał konflikt państw zaborczych. Wybuchła I wojna światowa. Polacy prowadzili zażartą walkę o swój niepodległy byt. Międzynarodowy układ sprawił, że walka ta zakończyła się sukcesem.

W Białymstoku, jak i gdzie indziej, Polacy z utęsknieniem wyglądali wyjątkowej chwili. Dawno obrzydł im los poddnych carskich, bo przecież Białostoczną od roku 1807 włączono w skład imperium rosyjskiego (wcześniej jeszcze, w wyniku III rozbioru 1795 roku zagarnęły ją Prusy).

W Białymstoku zapanowało ożywienie patriotyczne. Jedni widzieli szansę na niepodległość w walce przeciw Rosji i popierali Piłsudskiego. Patronem zwolenników walki z Niemcami stawał się Roman Dmowski. Czas pokazał, że jedni i drudzy mieli rację. Białystok, choć nie należał do najintensywniejszych ośrodków akcji niepodległościowych to jednak posiadał przywódczą grupę patriotów, skłaniających się ku jednej lub drugiej orientacji, którzy energicznie przystąpili do dzieła.

Przez kilka pierwszych miesięcy 1914 roku miasto pozostawało z dala od działań wojennych, ale odczuwało ich skutki. Rosjanie wydali zakaz wywozu sukna z fabryk przez co skazali miejscowy przemysł na ruinę. Za uchylanie się od dostaw dla armii karali wysokimi grzywnami. Kiedy latem 1915 roku do Białegostoku zbliżali się Niemcy, Rosjanie myśleli tylko o ewakuacji: demontowali urządzenia fabryczne, wysadzali kotły. Przemysł w Białymstoku przestał istnieć. Robotnicy, utraciwszy pracę, popadli w nędzę. Wśród księży oraz niektórych zamożniejszych rodzin ziemiańskich i inteligencjki zorganizowano akcję charytatywną. Białostocki Oddział Polskiego Towarzystwa Niesienia Pomocy Ofiarom Wojny w ciągu 3 miesięcy udzielił wsparcia 1.200 osobom. Korzystając z zaafierowania Rosjan zbliżającym się frontem niemieckim Polacy wznowili wydawanie „Gazety Białostockiej” i gromadzili fundusze na cele oświatowe.

Pierwsze bombardowanie miasta przez Niemców nastąpiło w kwietniu 1915 roku. Wybuchły pożary. Zginęło 13 osób a 34 odniosło rany. Białostocka Ochotnicza Straż Ogniowa niosła ratunek przed pożogą. Niebezpieczne też były nocne napady zeppelinów. Te na pozór dobroduszniej wyglądające twory niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, podobne do wielkich nadmuchiwanym poduszek lub zabawek dla dzieci, również wznęcały pożary i raniły wiele osób. Ewakuacja Rosjan dokonywała się w coraz większym pośpiechu. Likwidowali urzędy, kasy, archiwa,

wywozili dobra materialne. Wyszadzili wieżę ciśień i stację pomp, z elektrowni wywieźli turbiny (ocalała tylko jedna, przez co moc spadła z 5.640 kW do 640). Wyładowywali swój gniew na ewangelikach, podpalając im domy i świątynie. Puścili z dymem koszary i magazyny wojskowe. Ucieczce Rosjan towarzyszył wielki bałagan i zamęt. W przededniu ich odwrotu delegacja mieszkańców a głównie kupców dała komendantowi Białegostoku łapówkę, aby uciekające wojsko omijało miasto, więc częściowo udało się je ocalić przed grabieżą. Z 12 na 13 sierpnia 1915 roku wreszcie opuścili Białystok, na pożegnanie wysadzili most na torze kolejowym przy ul. św. Rocha oraz spalili wiadukt, co uniemożliwiało normalny ruch przez tory kolejowe.

13 sierpnia po południu na ulicach Białegostoku pojawili się nowi „władcy”, zwani po białostocku „Giermańcami”. Wkrótce też stworzyli władze okupacyjne, rozwiązując Komitet Obywatelski, złożony z przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, który powstał w momencie odejścia Rosjan (ów Komitet był zresztą odpowiednikiem Komitetu Obywatelskiego w Warszawie). Niemcy narzucili Białemustokowi kontrybucję 300 tys. marek i wyegzekwowali ją, biorąc w zastaw 10 zakładników. Trzeba przyznać, że nowi okupanci wykazali się świetnym zmysłem organizacyjnym. Imponowało to społeczeństwu białostockiemu, zmęczonemu bezładem i bałaganem rosyjskim. W dwa dni uruchomili elektrownię, zaraz potem wodociąg. W przeciągu 2 miesięcy powołali do życia większość urzędów, wyszkolili policję, ściągnęli kontrybucję, usunęli rosyjskie szyldy, zarejestrowali byłych rosyjskich wojskowych, wyznaczyli podatki a nawet poprawili bruk i przeprowadzili szereg ważniejszych inwestycji. Niemiecka sprawność była jednak połączona z żelazną dyscypliną i bezwzględnością, coraz bardziej dla Polaków dokuczliwą. Niemcy obłożyli podatkami posiadłości ziemskie, nieruchomości miejskie, przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe. Założyli swoje banki, towarzystwa kredytowe i ubezpieczeniowe — była to groźna konkurencja dla instytucji miejscowych. Apropozycję zaborca zmonopolizował. Chleb i inne produkty żywnościowe kupowało się na kartki, a kolejki przed sklepami rozpędzano strumieniami zimnej wody. Niemcy wydali jednak na żywność cennik maksymalny, za przekroczenie którego groziły surowe kary. Wielu mieszkańców Białegostoku cierpiało głód. Przemysł białostocki, zwłaszcza włókienniczy, funkcjonował dobrze, a więc bezrobocie nie przybrało większych rozmiarów. W przypadku braku surowców zastępowano je surogatami. Można przyjąć, że w Białymstoku Niemcy zachowywali się znacznie poprawniej, niż na innych okupowanych przez siebie terenach a jednak miejscowa ludność odczuła na swej skórze szereg represji. W październiku 1915 roku okupant wprowadził surowe przepisy administracyjne, za niektóre wykroczenia istniała groźba kary śmierci, jak na przykład za uszkodzenie linii telegraficznej, telefonicznej, dróg, torów kolejowych lub za ukrywanie żołnierzy rosyjskich, posiadanie broni palnej itp. Wszystkich zaopatrzonego w dowody osobiste. Tajna policja niemiecka była mniej okrzyczana od carskiej, za to bardziej skuteczna. Osoby uznane za szkodliwe wywożono bez żadnych skrupułów do obozu jeńców w Prusach.

Z drugiej strony trzeba dodać, że Niemcy chcąc pozyskać sobie Polaków a właściwie wykorzystali rezerwy ludzkie, aby mobilizować je przeciwko Rosji, zezwalali na tworzenie polskiego szkolnictwa i samorządu, przyzwalali na przeprowadzanie akcji społecznych, kiedy miały charakter antyrosyjski. Wykorzystali to miejscowi nauczyciele organizując szkolnictwo podstawowe i średnie. Przygotowywano przedstawienia teatralne o treści patriotycznej. Po ogłoszeniu aktu 5 listopada 1916 roku Rada Miejska wystosowała do Rady Stanu (organu doradczego przy władzach okupacyjnych, utworzonego w Warszawie w grudniu 1916 roku



z tzw. „aktywistów”) adres o przyłączenie Białegostoku do Królestwa Polskiego. Poczęły się tworzyć organizacje o charakterze politycznym, i wojskowym, wśród nich także piłsudczykowska Polska Organizacja Wojskowa. Miejskowa komenda POW powstała z inicjatywy oficera legionowego, który przybył z Tykocina i porozumiał się z tutejszą młodzieżą. W skład komendy weszli Michał Jaroszewicz, Jan Cebrzyński, Konstanty Pankiewicz — komendantem został Zenon Gessner. Propagandę w mieście i powiecie poprowadził Michał Motoszko. Organizacyjnie białostocka POW, która skupiała przede wszystkim starszych uczniów gimnazjalnych podlegała Łomży. Pojedynczo i grupkami członkowie POW przekradli się do Legionów Polskich, niektórzy do Łomży. Koło Przyjaciół POW wspierało jej członków finansowo. Niemcy aresztowali członków POW i wywozili do Niemiec. Rugowali z urzędów Polaków obsadzając je wojskiem. Zakazano wydawania pism polskich zastępując je „Białostoker Zeitung” drukowanym w języku polskim, niemieckim, żydowskim. Próbowano zreformować szkoły w duchu niemieckim, ale bez skutku, gdyż były one najsilniejszą placówką polskości. Wielkie zasługi w tej dziedzinie położył ksiądz Stanisław Hałko, którego Niemcy uwięzili i przetrzymywali w Niemczech 30 miesięcy.

W roku 1917 ruch niepodległościowy stał się bardziej intensywny. W czerwcu powołano Centralny Komitet Narodowy na Obwód Ziemi Białostockiej (powiaty białostocki, bielski, sokólski) z prezesem ks. Nawrockim i wiceprezesem Feliksem Filipowiczem na czele. Był to odpowiednik CKN w Warszawie, grupujący aktywistów z PPS, PSL oraz NZR. Po zawarciu pokoju brzeskiego w marcu 1918 r. między Niemcami a Rosją do kraju powracali z Rosji emigranci, których znaczne transporty zatrzymywały się w Białymstoku.

11 listopada 1918 roku zakończyła się I wojna światowa. Od dwóch dni trwała rewolucja w Niemczech. Białostok nadal był pod okupacją. Żołnierze niemieccy wypowiedzieli posłuszeństwo oficerom i utworzyli „Soldatenrat”. Powstała też miejscowa Rada Delegatów Robotniczych.

Grupa byłych oficerów i żołnierzy gen. Józefa Dowbór — Muśnickiego, ukrywających się w Białymstoku, zorganizowała tzw. „Samoobronę”. Jak widać — jesienią 1918 roku było w Białymstoku co najmniej kilka ośrodków politycznych. Na czele „Samoobrony” stanęli pułkownicy: Chałdzyński, Szymanowski, Łukaszewicz, Mitkiewicz. Uformowali oddziały złożone z byłych Dowborczyków i starszych wiekiem robotników, które przystąpiły do usuwania Niemców. Poparcia udzielili im uczniowie zrzeszeni w POW. 14-go przyszły posiłki z Warszawy — 150 żołnierzy. Niemcy przystąpili do rozbijania „Samoobrony”. Oddziały polskie wycofały się do Łap, gdzie formowała się Dywizja Litewsko-Białoruska. Rządy „Soldatentratu” odznaczały się chaosem i bałaganem. Wzmogła się propaganda komunistyczna. Ze względu na ciągle niestabilizowaną sytuację w mieście, rząd polski w Warszawie wysłał do Białegostoku swego komisarza Ignacego Morozowskiego, który utworzył biuro, nawiązał stały kontakt z Warszawą i przystąpił do stopniowego przejmowania władzy od Niemców. 19 lutego 1919 roku nastąpiła upragniona niemiecka ewakuacja, która ciągnęła się od czwartej rano do piątej po południu. Na koniec podpalili jeszcze Niemcy pałac i koszary.

Wkraczające polskie oddziały witano z wielkim entuzjazmem. Ustawa sejmowa z sierpnia 1919 roku powoływała województwo białostockie, a Rada Najwyższa zaakceptowała rozszerzenie granicy wschodniej II Rzeczypospolitej o ten teren.

19 lutego zaczął funkcjonować Tymczasowy Komitet Miejski pod przewodnictwem Józefa Puchalskiego jako prezydenta. 10 maja 1919 roku miasto zostało znacznie poszerzone przez przyłączenie pobliskich wiosek, które jako przedmieścia weszły w skład wielkiego Białegostoku: z dotychczasowego 2.700 ha wzrósł do 4.400 ha. 17 września 1919 roku przeprowadzono wybory do Rady Miejskiej wybierając 42 radnych i prezesa Feliksa Filipowicza. Prezydentem został Bolesław Szymański. W niepodległym Białymstoku trzeba było wielkiej pracy, aby poprawić sytuację bytową mieszkańców i ugruntować polską kulturę dotychczas tępioną przez zaborców. Bardzo szybko zaczęło ożywiać się polskie życie gospodarcze i kulturalne.

Niestety I etap niepodległości trwał krótko, gdyż 23 lipca 1920 roku pod naporem Armii Czerwonej wojsko polskie musiało opuścić Białystok we środę o godz. 3 rano. Front przetoczył się przez miasto na zachód. 30 lipca utworzono Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. W jego skład weszły osoby przybyłe z Armią Czerwoną: Feliks Dzierżyński, Feliks Kon, Julian Marchlewski, Edward Próchniak, Józef Unszlicht. Komitet ogłaszał nacjonalizację fabryk i ziemi, wzywał do tworzenia Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Program Komitetu nie zyskał powszechnej aprobaty i zrozumienia w miejscowym społeczeństwie, które odebrało go jako obcy i narzucony, odnosiło się wrogo do władzy przybyłej z Moskwy. Poparcia Komitetowi udzielili jedynie robotnicy folwarczni w nadziei otrzymania gospodarstw z majątków ziemskich oraz niektórzy robotnicy fabryczni. Radziecki plan niesienia rewolucji przez Polskę na Europę nie powiódł się. Polacy zmobilizowali siły pod dowództwem Józefa Piłsudskiego i kierownictwem Rządu Obrony Narodowej z Wincentym Witosem i Ignacym Daszyńskim na czele. Wygrali decydującą bitwę pod Warszawą 15 sierpnia, znaną powszechnie jako „cud nad Wisłą” i rozpoczął się odwrót armii radzieckiej po linię od rzeki Dźwiny do Zbrucza.

W walkach o Białystok brał udział 1 Pułk Piechoty Legionów pod dowództwem kpt. Zygmunta Wendy. 22 sierpnia, a więc zaledwie w tydzień po „cudzie nad Wisłą” wojska polskie ponownie wkroczyły do miasta. Białystok był wolny.

UMOWA BIAŁOSTOCKA Z 5 LUTEGO 1919 ROKU (geneza, postanowienia, znaczenie)

W Białymstoku, będącym jeszcze pod okupacją niemiecką, doszło w początkach lutego 1919 roku do podpisania przez przedstawicieli Polski i Niemiec ważnego układu polityczno-wojskowego. Zawarte porozumienie przyczyniło się do likwidacji skutków I wojny światowej na Białostocczyźnie; miało też pewien wpływ na fazę wstępną wojny polsko-radzieckiej i ukształtowanie się frontu przeciwradzieckiego. Zanim jednak przejdę do zaprezentowania głównych postanowień umowy białostockiej, interesującym być może będzie naświetlenie okoliczności jej powstania.

Otóż Niemcy pokonane na zachodzie, na wschodzie w dalszym ciągu zachowywały swą potęgę militarną, a w konsekwencji i znaczenie polityczne. Wojska ich w chwili zakończenia I wojny światowej zajmowały Finlandię, kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę, sięgając aż po Kaukaz i Turcję. Ta półmilionowa niemiecka Armia Wschodnia była co prawda bardzo rozproszona na ogromnych obszarach, jednak odradzające się państwo polskie nie mogło jej lekceważyć, gdyż najlepsze drogi ewakuacji tych wojsk do Niemiec prowadziły właśnie przez ziemie polskie. Oddziały te, nazywane często wojskami Ober-Ostu (skrót od Oberbetelshaber-Ost — Głównodowodzący Wschodem), pomimo zmęczenia wojną i pewnych nastrojów rewolucyjnych (powstały Rady Żołnierskie) zachowały zwarłość organizacyjną i zdolność bojową.

Wydarzenia listopadowe 1918 roku doprowadziły do oswobodzenia tylko Polski centralnej i południowej (Galicja Zachodnia i Kongresówka bez Suwalszczyzny). Próby rozbrajania Niemców w strefie okupacyjnej Ober-Ostu kończyły się niepowodzeniem, niekiedy i tragicznie. W Międzyrzeczu Podlaskim 16 listopada 1918 roku doszło nawet do masakry oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej, który zajął to miasto. Ucierpiała także ludność cywilna. Tak nerwowa, bezwzględna reakcja Niemców w tej części Podlasia wynikała być może z chęci zabezpieczenia linii kolejowej Kijów-Brześć-Białystok-Grajewo-Królewiec. Po likwidacji okupacji niemieckiej na ziemiach Polski centralnej linia ta stała się główną drogą odwrotu wojsk niemieckich z Ukrainy do Prus Wschodnich, Utrzymanie jej miało dla strony niemieckiej zasadnicze znaczenie. Wkrótce też, po rozmowach prowadzonych w Łukowie oraz w Kownie (siedziba Ober-Ostu), 24 listopada 1918 roku doszło do podpisania formalnego porozumienia, w którym obie strony zgadzały się na ewakuację niemiecką wspomnianym wyżej szlakiem kolejowym. Ustalono też polsko-niemiecką linię demarkacyjną biegnącą wzdłuż górnego Bugu przez Włodawę-Wisznice-Międzyrzec-Łosice-Mielnik-Siemiatycze-Łapy, dalej zaś linią rzek Narwi, Biebrzy i Wisły do granicy z Prusami Wschodnimi. Tak więc większość obszaru Białostocczyzny po listopadzie 1918 w dalszym ciągu znajdowała się pod okupacją niemiecką (do lutego — kwietnia 1919 roku).

Opuszczane przez wojska niemieckie tereny zajmowała Armia Czerwona, której oddziały rozpoczęły 17 listopada 1918 roku marsz w kierunku zachodnim. W kierownictwie radzieckim zaznaczyła się tendencja do wywierania wpływu na przebieg procesu rewolucyjnego i bieg wydarzeń w krajach ościennych. Do końca roku wojska radzieckie zajęły znaczne obszary Litwy i Białorusi (z Dyneburgiem i Mińskiem), a w początkach lutego 1919 roku osiągnęły linię Poniewież-Wilno-Lida-Słonim-Janów-Sarny-Owruć. Taki rozwój wydarzeń powodował zaniepokojenie polskiego kierownictwa politycznego i wojskowego, które miało swoje plany co do kresów północno-wschodnich, szczególnie Wileńszczyzny. Minister spraw zagranicznych Leon Wasilewski w notach dyplomatycznych do rządu radzieckiego (z 22 i 30 grudnia 1918 roku) protestował „przeciwko

ruchom wojsk radzieckich w kierunku granicy polskiej". Stwierdzał też, że „fakty wykazują wyraźnie agresywną politykę Rosji Radzieckiej, której wojska wtargnęły na Litwę i Białoruś, wprowadzając radziecką administrację w nie należących do niej rejonach (...) Wobec tego, że część tych terytoriów jest niewątpliwie polska, tego rodzaju postępowanie narusza bezpośrednio żywotne interesy narodu polskiego”.



Polska nie poprzestała na protestach dyplomatycznych lecz dążyła też do militarnego zabezpieczenia wschodnich rubieży. Początkowo było to niemożliwe, gdyż na przeszkodzie stały wojska niemieckie. Już w końcu grudnia 1918 roku strona polska czyniła pewne zabiegi w Berlinie oraz w dowództwie Ober-Ostu o przepuszczenie przez niemiecką strefę okupacyjną wojsk polskich w celu zajęcia Wilna. Niemcy grali na zwłokę i w efekcie oddziałów polskich nie przepuścili twierdząc, że warunki zawieszenia broni z Ententą nie pozwalają na zawieranie takich porozumień. Następną, styczniową rundą rokowań prowadzonych najpierw w Grodnie a od 19 stycznia 1919 roku w Białymstoku, początkowo także nie przyniosła większych rezultatów. Nie sprzyjały temu walki powstańcze w Wielkopolsce ani też niechętna postawa Rad Żołnierskich, skłonnych raczej do porozumień z władzami radzieckimi.

5 lutego 1919 roku zawarto jednak w Białymstoku „Umowę odnoszącą się do wzajemnej ochrony interesów w związku z odwrotem wojsk niemieckich grupy kijowskiej i 10 armii”. Pewien wpływ na sfinalizowanie rozmów mógł mieć nacisk Ententy oraz znaczne już zaawansowanie ewakuacji wojsk niemieckich z Ukrainy. Umowę podpisali przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych zainteresowanych stron. Pełnomocnikami strony polskiej byli prof. dr Ludwik Kolankowski i kapitan Janusz Gąsiorowski. Stronę niemiecką reprezentowali dr Manfred Buhlmann oraz kapitan Hiemer, występujący jako pełnomocnik wojsk grupy kijowskiej.

Pierwsze artykuły tego dokumentu regulowały warunki odwrotu wojsk niemieckich z okupowanych jeszcze terenów i potwierdzały w zasadzie istniejący stan rzeczy. Dokładniej ustalono też polsko-niemiecką linię demarkacyjną. Dla polskiego Naczelnego Dowództwa szczególnie istotny był artykuł V: „Przedstawiciele niemieccy upoważnieni do zawarcia umowy zapewniają niniejszym, że marsz polski przeciwko bolszewikom na razie w sile mniej więcej 10 batalionów po najwyżej 800 (ośmiuset) ludzi, dwóch szwadronów i dwóch baterii po 4 działa będzie się mógł odbyć przez Białystok i dalej przez Grodno i Wołkowysk. Puszczanie w ruch tych transportów może nastąpić w dwa dni po podpisaniu niniejszych umów.” W następnych artykułach układu Niemcy zobowiązali się do przekazywania opuszczonych terenów w ręce polskie. Określono też

warunki luzowania oddziałów niemieckich. Władze polskie uzyskiwały prawo pierwokupu „własności państwowej niemieckiej” — głównie chodziło tu o broń i wyposażenie wojskowe potrzebne tworzącej się armii polskiej. Dla koordynacji działań umawiających się stron powołano po dwóch oficerów łącznikowych polskich w Białymstoku, Grodnie, Brześciu i Wołkowysku oraz komisarzy rządowych w Białymstoku, Grodnie i Brześciu.

W wykonaniu umowy nastąpiła pewna zwłoka, gdyż niemiecka Rada Żołnierska w Białymstoku nie zgadzała się na przeprowadzenie polskich transportów wojskowych na wschód. Dopiero 11 lutego 1919 roku, po wyjaśnieniu sytuacji przez kapitana Gąsiorowskiego, wyruszyły z Łap do Wołkowyska pierwsze oddziały Dywizji Litewsko-Białoruskiej. W połowie lutego dotarły one do Niemna i zajęły ważne przejścia drogowe i kolejowe na tej rzece (stacja Mosty). Niebawem oddziały te weszły w styczność bojową z nadciągającymi wojskami radzieckimi, których celem operacyjnym także były przeprawy na Niemnie. W ten sposób formalnie nie wypowiedziana wojna polsko-radziecka stała się faktem.

Tymczasem na tyłach tworzącego się frontu pozostawali jeszcze Niemcy. Już jednak po 15 lutego 1919 roku opuścili oni powiat bielski. 17 lutego do Białegostoku przybyły polskie władze wojskowe z komendantem miasta pułkownikiem Stanisławem Dziewulskim. Wieczorem 19 lutego 1919 roku do miasta wkroczyły oddziały polskie. Były to III batalion 28 pułku piechoty, 2 kompania 1 pułku piechoty, 3 szwadron 4 pułku ułanów oraz bateria artylerii. Tak więc w lutym 1919 roku Białostoczczyzna mogła już cieszyć się tak długo oczekiwaną niepodległością. Jedynie powiat sokólski musiał na nią czekać dwa miesiące dłużej (do 28 kwietnia).

Jak widzimy, umowa białostocka przyczyniła się do bezkolizyjnego w zasadzie zakończenia ewakuacji wojsk niemieckich ze wschodu oraz do pokojowego oswobodzenia Białostoczczyzny (powiat bielski, białostocki i sokólski). Przyspieszyła też ona fizyczne zetknięcie się wojsk polskich i oddziałów Armii Czerwonej, co niestety zapoczątkowało długotrwałą i wyczerpującą wojnę z Rosją Radziecką.

Jan Snopko



ROK 1918 W POMYGACZACH

KAZIMIERZ DERKOWSKI — Panie Michale, podejmuję się arcytrudnej misji. Chcę na łamach „Dyskusji” przedstawić czytelnikom Pana wspomnienia z pamiętnego dla nas Polaków roku 1918. Pojęcie „arcytrudna misja” wywodzi się stąd, że sam muszę uczyć się historii na nowo. Wiedza, którą nabyłem w szkole podstawowej, średniej a nawet wyższej, jest wyjątkowo skąpa, a rok 1918 w edukacji lat 50-tych był pomijany milczeniem przez moich nauczycieli historii. Teraz wiem, że powodem tego był stalinowski kult jednostki. To właśnie w dniu urodzin Józefa Stalina jako uczeń szkoły podstawowej otrzymałem paczkę ze słodyczami, z dedykacją od swojej wychowawczyni klasowej: „Derkowski, proszę, to prezent od dziadka Józia”.

Było to w roku 1951. Cofnijmy się jednak do listopada 1918 r. — miał Pan wówczas 17 lat.

MICHAŁ WIĘCKO — W moim domu rodzinnym w Pomygaczach stacjonowali wówczas Niemcy. Na podwórku stał wóz załadowany bronią. Na wieść o tym, że polskie siły zbrojne skupione w Polskiej Organizacji Wojskowej są już w pobliskich Łapach, Niemcy zaczęli przygotowywać się do uciezki. Zanim to jednak nastąpiło czterej nieco starsi ode mnie młodzieńcy — Antoni Zajkowski, Bronisław Matys, Seweryn Zaczęniuk i Antoni Tomkiel¹⁾ dokonali nocnego wypadu po broń. Ze stojącego wozu pobrali karabiny i amunicję. Z tym łupem zameldowali się w łąpskim Oddziale powstającego Wojska Polskiego. Miałem także ogromną ochotę pójść z nimi. Niestety, surowe oblicze ojca świadczyło o dezaprobachie wobec moich zamiarów.

Po prostu byłem za młody.

— Podejrzewam, że powszechna wiedza historyczna naszych rodaków o Legionach jest dość mglista. Czy mógłby Pan przybliżyć czytelnikom pojęcie Legionów?

— Byli to ochotnicy zorganizowani w siłach zbrojnych, czyli w armii, których celem nadrzędnym było wyzwolenie Polski²⁾.

— Co się działo w Pomygaczach po odwrócenie Niemców?

— Dotarli do wsi legionieści i zaczęli tworzyć polskość. Soltysem był wówczas Andrzej Wysocki, a gmina mieściła się w Juchnowcu.

— Wiem z długoletniej naszej znajomości, że jest Pan namiętym numizmatykiem. Proszę powiedzieć jaki pieniądz był wówczas w obiegu?

— Marka polska. Mam ją w swoich bogatych zbiorach.

— Podczas licznych moich wizyt w Pana domu miałem możliwość obejrzeć fotografie, na których utrwalił Pan swoją przeszłość wojskową. Proszę przypomnieć gdzie, kiedy i w jakich formacjach Pan służył?

— W listopadzie 1919 r. zostaję powołany do 42 pułku piechoty w Białymstoku. Z tym pułkiem zostaję przewieziony do Stanisławowa, gdzie tworzy się baon grenadierów 6 armii polskiej, pod komendą płk Jarosza. Przeżywam pierwsze blaski i cienie służby wojskowej. 7 maja 1920 r. prawie bez walki zajmujemy Kijów, ponieważ bolszewicy nie mieli czym strzelać. Skończyły się im i tak bardzo skromne zapasy amunicji. Pamię-

¹⁾ Było również 5 poborowych: Stanisław Obsulewicz, Wacław Muszyński, Antoni Dańko, Bolesław Muszyński, Kazimierz Skalimowski (Niestety wszyscy nie żyją)

²⁾ W armii rosyjskiej na przełomie 1914 r. i 1915 r. powstał Legion Puławski, lecz nie odegrał on istotnej roli w walce o utworzenie państwa polskiego. Legiony Polskie przy armii austriacko-węgierskiej rozpoczęły działalność w sierpniu 1914 r. z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Rozwinęły się do trzech Brygad, a ogółem było w nich około 30 tys. żołnierzy. Brały one udział w wielu bitwach.

tam jak dziś słowa pieśni, której nauczył nas płk Jarosz. Początek był taki:

„Lśni Polska broń
Jak złotych kłosów fal”

Po opuszczeniu Kijowa wcielono mnie do 6 dywizjonu artylerii konnej, w szeregach którego dostałem się do Wilna. Tutaj zostaję włączony do 10 Pułku Ułanów Litewskich. W roku 1921 z tym pułkiem wracam do Grajewa. Odbywam tutaj zasadniczą służbę wojskową w 4 szwadronie, do początku roku 1924. W sumie mundur żołnierski nosiłem 4 lata i 3 miesiące.

— **Z wcześniejszych opowiadań wiem, że dowódca 4 szwadronu zachęcał Pana do pozostania w służbie zawodowej.**

— Rzeczywiście tak było. Przemogła jednak tęsknota za domem rodzinnym i chęć powrotu do życia cywilnego. Z oferty dowódcy nie skorzystałem.

— **Wrócił Pan do Pomygacz?**

— Tak. Niestety rodzice już nie żyli. Pozostał tylko brat. Zatrudniłem się u stolarza. Miałem smykałkę do prac stolarskich. Za 12 godzin pracy otrzymywałem 1 złoty, słownie: jeden złoty. Było można za to kupić 1 kg cukru lub 0,25 l wódki. W roku 1928 los się do mnie uśmiechnął i zatrudniłem się w zakładzie stolarsko-ciesielskim Józefa Wysockiego w Białymstoku. Zarobki moje wzrosły do 1 zł za godzinę pracy.

— **Może zatrzymajmy bieg Pana życiorysu i wróćmy do roku 1918. Wiem, że jednym z wielu przydomków, jakimi obdarza Pana społeczność lokalna jest określenie „Michał-Piłsudczyk”. Co się za tym kryje?**

— Przede wszystkim szacunek do Marszałka Polski. Od Józefa Piłsudskiego otrzymałem medal z napisem „Polska swemu obrońcy”. Dwukrotnie miałem okazję spotkać się z Komendantem. Uznaję go za wielkiego człowieka, w swoim bądź co bądź, blisko 90-letnim życiu.

— **Czy w latach nieprzychylnych osobie Józefa Piłsudskiego i jego zwolennikom nie spotkały Pana jakieś przykrości osobiste?**

— Niestety tak. Za poglądy i uznanie zasług narodowych J. Piłsudskiego zostałem ukarany materialnie. Jako członek ZBOWiD-u wystąpiłem o przyznanie mi zasiłku kombatanckiego. Otrzymałem go wprawdzie, ale w kwocie znacznie niższej od innych. Dopiero po mojej interpelacji podwyższono wartość zasiłku z 3 do 5 tys. zł, a następnie razem do 8 tys. zł. Był więc taki czas w Polsce Ludowej, kiedy ludzie związani z Marszałkiem nie byli w łaskach władzy.

— **Mówi Pan o tym w czasie przeszłym. Czy sądzi Pan, że w dobie przebudowy, „pierestrojki” i likwidacji „białych plam”, wszyscy ludzie wierni prawdzie historycznej mają szanse dojścia do głosu?**

— Jest to możliwe tylko w przypadku rozbicia w puch wszystkich lokalnych klik i mafii. Musi zaistnieć powszechna aprobata społeczna dla uczciwości, poszanowania pracy i dóbr państwowych. Zanikł całkowicie szacunek do ustroju. Szerzy się egoizm i zachwaszczony jest język polski, język naszych ojców. To co mówię jest gorzkie ale prawdziwe. Dopóki nie nastąpi w narodzie wstrząs intelektualny i wielka chęć bycia, zawsze i wszędzie, Polakiem — dopóty toczyć będziemy się po równi pochyłej.

— **Czy nie sądzi Pan, że motywacja narodowa z roku 1918 mogłaby odegrać w dzisiejszych czasach także historyczną rolę?**

— W aspekcie patriotycznym na pewno tak! Bardzo przydatny byłby duch narodowy, z usilnym dążeniem do przełamania impasu niemocy społecznej. Potrzebne są nam także jasno określone cele i kierunki roz-



woju państwa. Motanie się w reformatorskich dyskusjach, bez widocznego postępu i działań — niczemu nie służy. Musi zaistnieć siła, która naród pociągnie za sobą.

— Panie Michale! Życzymy sobie nawzajem, by w roku jubileuszu 70-lecia Odzyskania Niepodległości Polski wszyscy rodacy z godnością i bez wzajemnych zadrażeń uczcili to Święto. Natomiast Panu osobiście życząc 100 lat w zdrowiu, dobrej kondycji psychicznej i takiej znakomitej pamięci, jaką w naszej rozmowie Pan wykazał.



— Panie Kazimierzu! Ja nigdy tak dobrze nie miałem jak teraz. To co powiedziałem w końcowej fazie naszej rozmowy, to jest to — co mnie gnębi w sensie społecznym. Chciałbym dożyć takiego momentu, kiedy zwycięży sprawiedliwość i uczciwość.

— Z całego serca tego Panu i Polsce życzę i dziękuję za rozmowę.

Z Michałem Więcko — emerytowanym pracownikiem kultury z Pomy-gacz rozmawiał

Kazimierz Maksymilian Derkowski

JÓZEF PIŁSUDSKI W BIAŁYMSTOKU

Rocznica siedemdziesięciolecia odzyskania niepodległości przez Polskę sprawia, iż częściej niż zwykle i bardziej oficjalnie wracamy do osoby Józefa Piłsudskiego. Dowodem są ostatnie wydawnictwa książkowe, a zwłaszcza artykuły prasowe i wystąpienia prelegentów. Z zadowoleniem wypada zauważyć, że swoboda wypowiedzi sprzyja odrzucaniu fałszów i mitów na korzyść stwierdzeń wyważonych, obiektywnych w intencjach autorów. Z takim nastawieniem siadłem i ja do pisania tekstu o pobytach Józefa Piłsudskiego w Białymstoku.

TOWARZYSZ „WIKTOR”

W początkach lipca 1892 r. J. Piłsudski powrócił z zesłania i w tym samym roku odbył się w Paryżu (17—23 XI) zjazd, na którym podjęto decyzję o utworzeniu Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich. W roku następnym już w kraju powstała Polska Partia Socjalistyczna, a w marcowym numerze „Przedświtu” ukazały się dwie pierwsze korespondencje Piłsudskiego, socjalisty z grupy wileńskiej (litewskiej). Nie wchodząc w szczegóły, trzeba tylko przypomnieć, że późniejszy Marszałek szybko przejął kierownictwo litewską częścią Polskiej Partii Socjalistycznej, miał sukcesy w rozwijaniu działalności wydawniczej, zdobył uznanie także w Warszawie.

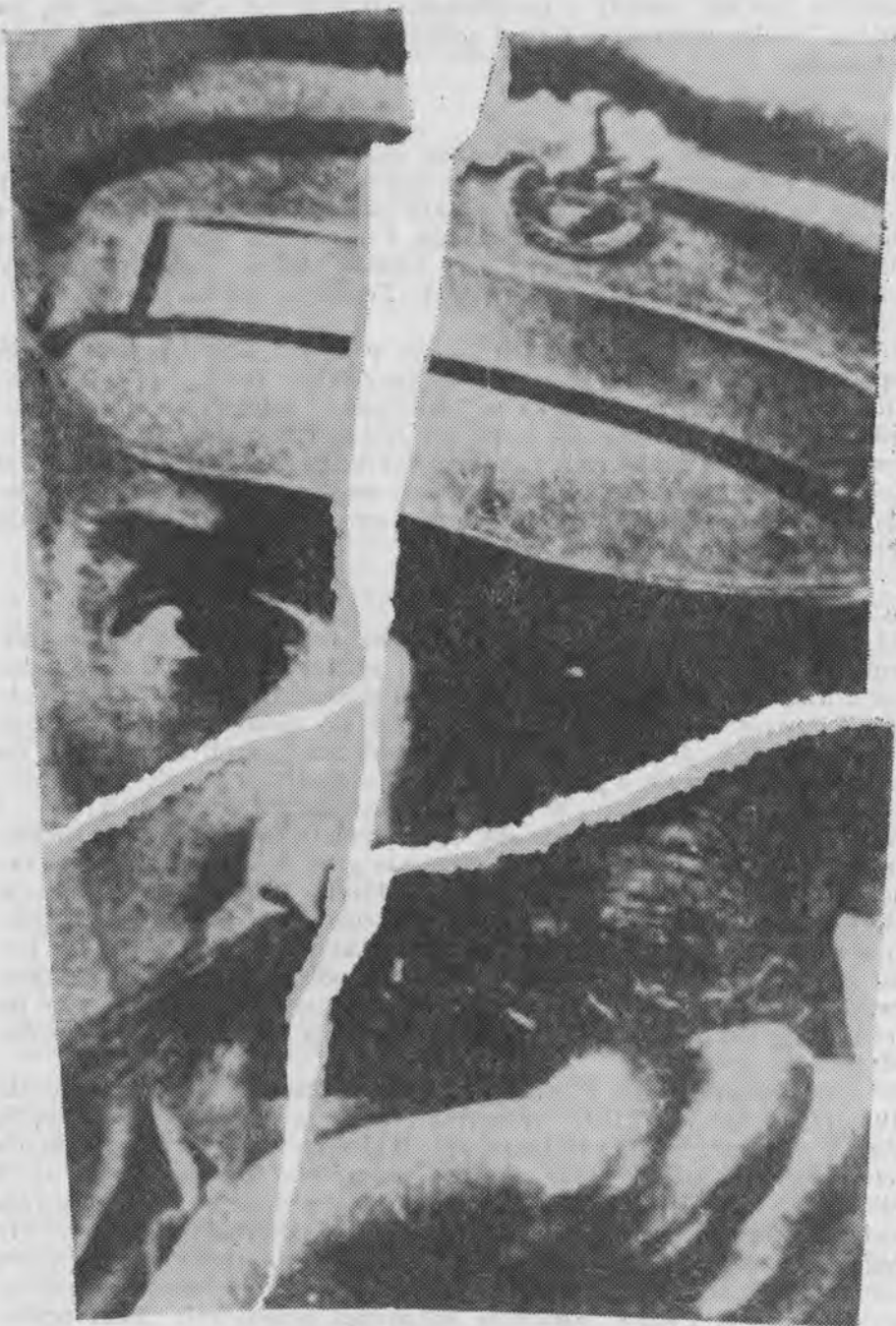
W sprawozdaniu na IV Zjeździe PPS (XI 1897 r.) towarzysz „Wiktor” przypomniał, że w 1893 r. partia nawiązała kontakt między innymi z Białymstokiem. Praca szła tu jednak ciężko ze względu na brak ludzi oddanych sprawie, skomplikowane układy narodowościowe, dominację ruchów robotniczych żydowskich. Reputację miasta poprawił jednak wyraźnie strajk 1895 r. To właśnie Józef Piłsudski napisał w korespondencji do „Robotnika” (nr 10 z 24 IX) o walce 12-tysięcznej masy braci białostockich „w obronie swych praw pogwałconych”. Autor uznał, że ten strajk stanowi „jedną z tych chwil, gdy przeciążeni jarzmem niewoli dzisiejszej, wstrząsamy nim, by zbadać swą siłę, a jego wytrzymałość, by pokazać światu, że ucisk rządów nie zrobił nas uległymi niewolnikami, że nie jesteśmy nieczułymi na pomiatanie naszymi prawami i naszą godnością ludzką, że nie zamarło w nas gorące pragnienie wolności i wyzwolenia”. Uważał też, że robotnicy białostoccy dowiedli, jak umieją cenić swobodę.

Nie wiemy, niestety, czy i w okresie tego strajku Józef Piłsudski przyjeżdżał do Białegostoku, bowiem był tu wielokrotnie korzystając z gościnności państwa Lenczewskich. Stanisław Lenczewski uczył nielegalnie dzieci i przechowywał partyjną bibułę. Natomiast jego żona — Wiktoria (z domu Godyńska), prowadziła przy ulicy Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) pracownię sukien damskich, zatrudniając aż 60 osób. Punkt był położony w miejscu na tyle ruchliwym, że doskonale nadawał się na skrzynkę kontaktową, a w gronie pracownic lokowano emisariuszki i instruktorki. Natomiast nocował towarzysz „Wiktor” przy ul. Starobojarskiej 9, w podwórku, na górze mieszkania rodziców Lenczewskiej. Przyjeżdżał tu na dzień lub dwa i tylko raz musiał zostać dłużej wskutek zasłabnięcia. W przedwojennej prasie białostockiej znalazłem notkę o projekcie wmurowania tablicy pamiątkowej przy Sienkiewicza 44, ale pomysłu tego chyba nie zrealizowano.

Piłsudskiego w coraz większym stopniu zajmowały sprawy warszawskie, wyjeżdżał także za granicę, rzadko natomiast bywał w ówczesnej guberni grodzieńskiej, gdzie zresztą znów przygasła działalność ogniw PPS. Do rzędu ciekawostek wpiszę jeszcze fakt, że gdy 15 lipca 1899 r. brał ślub z Marią Juskiewiczową w kościele ewangelicko-augsburskim w Paproci Dużej (na południe od Zambrowa), to podał się za kupca za-

mieszkałego w Łapach. W ten sposób konspirator ukrył właściwy adres, a ślub w kościele katolickim nie wchodził w rachubę, bo wybranka porzuciła męża.

W artykułach Józef Piłsudski powracał jeszcze do sytuacji panującej na Litwie, czyli w guberniach litewsko-białoruskich, do których zaliczano i gubernię grodzieńską z powiatami: białostockim, bielskim, sokólskim. Piszący nie tał wrogości i pogardy dla wszystkiego co carskie, wskazując między innymi na żandarmów („stupajki”), żołnierzy i specjalnych dozorców celnych czyhających na podróżnych i ich pakunki na dworcu



białostockim. W „Walce” (nr 3 z 1903 r.) tak charakteryzował te ziemie i ich mieszkańców: „Na północy zwartą masą mieszkają Litwini, na południu i wschodzie Białorusini. Lecz czynnik ten pod berłem moskiewskim, przy dzikich, krępujących rozwój kultury prawach jest bardzo słabym. Nawet Litwinów, najbardziej wyraźnych pod tym względem, świadomość narodowa w szerokim pasie ludności mieszanej jest nader słabą, a o Białorusinach jako narodowości dotąd prawie mowy nie ma”. Z podaną oceną można polemizować, ale to ona właśnie rzutowała i na późniejsze plany Naczelnika Państwa. Towarzysz „Wiktor” ubolewał, że wszystkie tutejsze narody i narodowości izolują się. Opowiadał się za wspólną walką wyzyskiwanych i jednako skrzywdzonych przez rząd moskiewski.

KOMENDANT

Próba bojową dla Józefa Piłsudskiego stały się wydarzenia lat 1905—1907, ale doświadczenie dowódcze wojskowe zdobył dopiero podczas I wojny światowej. Do Legionów dotarli również przedstawiciele społeczności z byłego obwodu białostockiego. I oni, i inni podkomendni Piłsudskiego sprawowali tu po 1919 roku ważne funkcje, o czym świadczy choćby wykaz wojewodów białostockich. Temat to jednak sam w sobie, odrębny.

Józef Piłsudski w pamiętnikach („Moje pierwsze boje”) zapisał uwagi o spotkaniach z jeńcami w szynelach rosyjskich, rodem spod Grodna. Autor mówił wówczas „z polska po białorusku”, żołnierz — chłop odpowiadał „panoczku”, żegnał się i chwalił Jezusa Chrystusa. Ze Stetkiewiczem doszukali się znajomych, rannemu zakreśliły się łzy w oczach, zakrył płaszczem twarz. To był dramat obywateli niegdyś z granic jednego państwa, teraz ubranych w różne mundury i strzelających do siebie w imię interesów Persburga, Berlina, Wiednia.

NACZELNIK PAŃSTWA

11 listopada 1918 roku i w Białymstoku rozpoczęło się rozbrajanie Niemców, powstała „Samoobrona”. Tego jeszcze dnia trzyosobowa delegacja udała się do Warszawy z prośbą o pomoc. Czy dotarli do Piłsudskiego? Powrócili z obietnicą pomocy, która się spóźniła i była mniejsza od zapowiadanej. Jednak głównie obecność dużej armii niemieckiej na Ukrainie zadecydowała o ponownym objęciu władzy przez siły tzw. Ober-Ostu i na wolność czekano w naszym mieście do 19 lutego 1919 r.

Nadal sytuacja komplikowała się. Trzy powiaty byłego obwodu białostockiego, podobnie jak i całą była gubernię grodzieńską, oddano pod zarząd wojskowy. W marcu pojechała do Józefa Piłsudskiego delegacja białostoczan na czele z Feliksem Filipowiczem, przewodniczącym Centralnemu Komitetowi Narodowemu Obwodu Białostockiego. Filipowicz powoził ze sobą walizę z ponad 37 tysiącami podpisów pod memoriałem o przyłączenie białostockiego do II Rzeczypospolitej, zniesienie granicy na Narwi. Sejm Ustawodawczy uchwałą z 2 sierpnia 1919 r. ustanowił województwo białostockie.

Niespodziewanie i sam Piłsudski zawitał do Białegostoku. 20 września 1919 r. przed hotelem „Ritz” zatrzymały się trzy samochody. Naczelnik Państwa w towarzystwie adiutanta, kpt. Walerego Sławka i trzech innych oficerów wszedł na pierwsze piętro i w czytelni restauracyjnej zjadł posiłek. W tym czasie redakcja „Dziennika Białostockiego” zorganizowała improwizowane powitanie. Wychodzącego gościa powitały już tłumy, były delegacje, sztandary, okrzyki. Obok Piłsudskiego stanęli: komendant miasta płk Szymanowski, starosta dr Cyfrowicz i komisarz rządowy miasta Napoleon Cydzik. Redaktor Filipowicz przemówił: „Racz wybaczyć, że pozwalamy sobie zatrzymać Cię Dostojny Komendancie, znu-

żonego drogą i zrozumieć, że zaskoczeni niespodziewanymi odwiedzinami nie mogliśmy zgotować takiego przyjęcia, jakiego pragną nasze serca”.

19 listopada 1919 r. Rada Miejska postanowiła nadać Piłsudskiemu honorowe obywatelstwo miasta „w uznaniu zasług jednego z najlepszych synów Ojczyzny, niestrudzonego wojownika o wolność, niepodległość i wielkość Rzeczypospolitej Polskiej...”. Z aplauzem przyjęto i stwierdzenie, że to Piłsudskiemu miasto zawdzięcza „odrodzenie i wcielenie po wiekowym oderwaniu od macierzy”. Ten entuzjazm nie powinien dziwić, powszechnie niemal uważano syna komisarza powstańczego z 1863 roku za twórcę II Rzeczypospolitej, co wcale nie musiało oznaczać akceptacji jego wszystkich koncepcji i czynów. W obecnych naszych ocenach często przeważa pamięć o postawie Marszałka po maju 1926 roku.

WÓDZ

28 lipca 1920 r. wojska polskie opuściły Białystok, w mieście rozpoczął działanie Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. W pracy J. Piłsudskiego „Rok 1920” Białystok został wymieniony po raz pierwszy dopiero przy omawianiu rozkazu z 18 sierpnia 1920 r., gdy nabierała rozmachu ofensywa polska, rozpoczęta uderzeniem znad Wieprza. 2 armia otrzymała wówczas zadania pościgu na kierunku północnym dla zajęcia naszego miasta. Stało się tak 22 sierpnia, po ciężkich bojach, opisanych m.in. przez ich uczestnika — Władysława Broniewskiego oraz w monografii Adama Borkiewicza i Stanisława Grzegorzcyka. Piłsudski bitwę o Białystok określił jako „klęskę 16-tej armii sowieckiej”, chwając za dzielną postawę 1 dywizję legionową. Po latach upamiętniono te wydarzenia, a na tablicach wymieniono także nazwisko Wodza.

OBYWATEL HONOROWY

Starannie przygotowano się do tej uroczystości, planowanej na dzień 22 sierpnia 1921 r., czyli w pierwszą rocznicę powrotu wojsk polskich. Piłsudski ponoć przesunął przyjazd o jeden dzień, „nie chcąc ludzi odrywać od zajęć codziennych”.

„Dziennik Białostocki” 20 sierpnia opublikował program pobytu Józefa Piłsudskiego, zapewniając zawczasu, że „cały Białystok — jak jeden mąż — wyruszy na powitanie Najwyższego Dostojnika Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej”. Bardziej interesująco brzmią komunikaty organizacyjne. I tak nakazano, by wszystkie delegacje zgłosiły wcześniej swe uczestnictwo, pod rygorem nie wpuszczenia na Plac Kościuszki oraz do szpalerów. Należało również przedstawić w Radzie Miejskiej teksty przemówień.

21 sierpnia o godz. 2 nocą specjalnym pociągiem wyjechała delegacja białostocka do Wołkowyska. O 7.50 na tejże stacji zatrzymał się pociąg wiozący Naczelnika Państwa, który jeszcze spał. Do pociągu wsiedli m. in. wojewoda białostocki Stefan Popielawski, dowódca Okręgu Białystok gen. Frankowski, prezydent miasta Bolesław Szymański, komendant Okręgowej Policji Państwowej i kilku jeszcze oficerów. Redaktorzy odnotowali, że był to pogodny poranek, nieco chłodny. Gdy pociąg zbliżał się do stacji w Żedni, adiutant zapowiedział białostoczanom nadejście Marszałka. Po krótkiej prezentacji rozpoznała się rozmowa przy stoliku w wagonie restauracyjnym. W górze akrobacje wyczyniał samolot pilotowany przez kpt. Lepszego, w wagonie zaś zdarzył się kłopotliwy moment. Oto przy wjeździe na stację Białystok Poleski (ob. Fabryczny) Piłsudski dostrzegł szeroki tor. Pytanie musiało być chyba z domieszką irytacji, padła jednak zgrabna odpowiedź, że to jedynie dla postoju wagonów radzieckich (rosyjskich), przerabianych na normalny rozstaw osi.

Na dworcu zabrzmiał salut artyleryjski, pochyliły się sztandary i głowy

oczekujących, w tym pełnomocników Ministra Spraw Wojskowych i Sztabu Generalnego, sprezentowała broń kompania honorowa. Była godzina 10.00. Po odegraniu Hymnu i krótkim przemówieniu Feliksa Filipowicza (prezes Rady Miejskiej), gość wsiadł do powozu zaprzęzonego w czwórkę koni, a z przelatującego samolotu spadła wiązanka polnych kwiatów. Orszak otoczony szwadronem 1 Pułku Ułanów Krechowickich pojechał w kierunku pierwszej bramy triumfalnej, ustawionej u zbiegu ulic Kolejowej, św. Rocha (ob. Manifestu Lipcowego) i Lipowej. Miasto prezentowało się odświętnie, tłumy napierały na kordony sił porządkowych. B. Szymański podał na tacy chleb i sól, witając gościa w imieniu całej ludności, bo na ten czas „zatarły się wszelkie różnice, czy to narodowościowe, czy religijne”. Niezawodne w takich chwilach maluchy wyrecytowały wierszyk: „I myśmy też przyszły tutaj polskie dziatki, by tobie przynieść te kwiatki...”. Młodzież starsza ustawiła się wzdłuż ul. Lipowej, zasypując powóz kwiatami. Ponad głowami ludzi powiewały flagi narodowe, na balkonach wisiały portrety i orły.

Minięto drugą bramę i Piłsudski podjechał pod farę, gdzie oczekiwali go ustawieni od bramy po drzwi kościoła: poseł ks. dr Stanisław Hałko, dziekan Aleksander Chodyko i biskup wileński Jerzy Matulewicz. Po krótkiej modlitwie powrócono do drugiej bramy, gdzie mowy powitalne wygłosili: pastor Cyrkowitz, ksiądz prawosławny Gruszkiewicz i rabin Kozenman (był obecny i rabin dr Rozental). Lipową w tym czasie nadeszły oddziały wojska i wszystkie one przedelfowały przed zebranymi na trybunie.

Nieco odpoczynku zyskał Piłsudski podczas herbatki u prezydenta miasta. Wchodząc do domu odpiął szablę ze słowami: „Ponieważ przybyłem w zamiarach pokojowych, oręż odejmuję”. I tu jednak było rojno, a część gości zajęła miejsca przy stolikach w ogrodzie.

Po godzinie orszak ulicami Sienkiewicza, Warszawską, Pałacową (obecnie Marchlewskiego), Kilińskiego powrócił na Rynek Kościuszki, przejeżdżając koło trzeciej bramy wystawionej przez lotników. Minęło południe. Orkiestra powtórzyła Hymn, rozpoczęła się msza połowa celebrowa-



Marszałek J. Piłsudski saltuje na białostockim Rynku sztandar 42 pp.
Widoczny i biskup wileński J. Matulewicz.

Reprod. Jan Malec.

wana przez biskupa J. Matulewicza, po niej ks. dziekan wojskowy ppłk Jaworski poświęcił sztandar 42 pułku piechoty. Pierwszy pułk białostocki formował się w Łapach od grudnia 1918 r., ale w 1920 nadano mu tytuł pułku kresowego, Wówczas to białostoczanie przenieśli swe sympatie na 42 pułk piechoty, złożony w znacznej części z miejscowej młodzieży. To on miał pozostać już na stałe w mieście i w dniu przyjazdu Marszałka otrzymać sztandar. Najpierw matki chrzestne (Maria Rymańska, Antonina Żołątkowska — prezeska Koła Polek, Jadwiga Klimkiewiczowa — sekretarz Rady Miejskiej) wręczyły sztandar F. Filipowiczowi i B. Szymańskiemu, poczem Filipowicz oddał go Pierwszemu Żołnierzowi Rzeczypospolitej, a dopiero Marszałek przekazał dowódcy pułku. Teraz przyszła pora na przysięgę żołnierską i defiladę piechurów, następnie strażaków, harcerzy i członków „Sokoła” oraz związków zawodowych.

Na obiad w ogrodach Pałacu Branickich miasto zaprosiło ponad 2.000 szeregowców i oficerów. Przy stole honorowym zasiadł i Piłsudski, a z balkonu pałacowego wszystkim przygrywała kapela włościańska pod batutą Stanisława Namysłowskiego. Nie zabrakło oczywiście przemówień oraz okrzyków na cześć gościa, co razem zajęło czas od godz. 15 do 16.30.

Po obiedzie Marszałek pojechał do koszar im. Romualda Traugutta, by pokibicować na meczu piłki nożnej pomiędzy klubem sportowym „Korona” i drużyną 42 pp. w przerwie meczu, na prośbę kapitanostwa Grefinerów, Piłsudski spełnił rolę ojca chrzestnego, życząc chrześniakowi sukcesów footballowych.

Punktualnie o godz. 19 Naczelnik Państwa przybył na uroczysty akt poświęcenia sali Rady Miejskiej, w której też rozpoczął się wnet obiad galowy. Powtórzono po raz kolejny przemówienia, życzenia i wiwaty. Antoni Lubkiewicz wręczył specjalnie wydany zeszyt pamiątkowy „Białystok Ilustrowany”, we wstępie do którego znalazło się zdanie: „Białystok przetrwał kataklizmy, nie przestając być polskim”. Głos zabrali także przedstawiciele rolników ziemi białostockiej, gminy żydowskiej. Wreszcie przemówił i Piłsudski, kończąc swe wystąpienie słowami: „... za rozwój dobrych stosunków obywateli i żołnierzy wnoszę toast”. Na to prezes Rady Miejskiej krzyknął: „Najstarszy żołnierz polski, nasz ukochany Dziadek, niech żyje!”, „Dziadek” uśmiechnął się dobrotliwie.

Zbliżał się kres dnia i wizyty. W gabinecie prezesa Rady Miejskiej przedstawiciele miejscowych przemysłowców wręczyli Marszałkowi 500 tys. marek i takąż sumę przekazali do dyspozycji miasta. W Sali Kolumnowej Pałacu Branickich rozpoczął się raut. Józef Piłsudski opuścił bawiących się o godz. 23.30, a o północy specjalny pociąg odjechał w kierunku Warszawy.

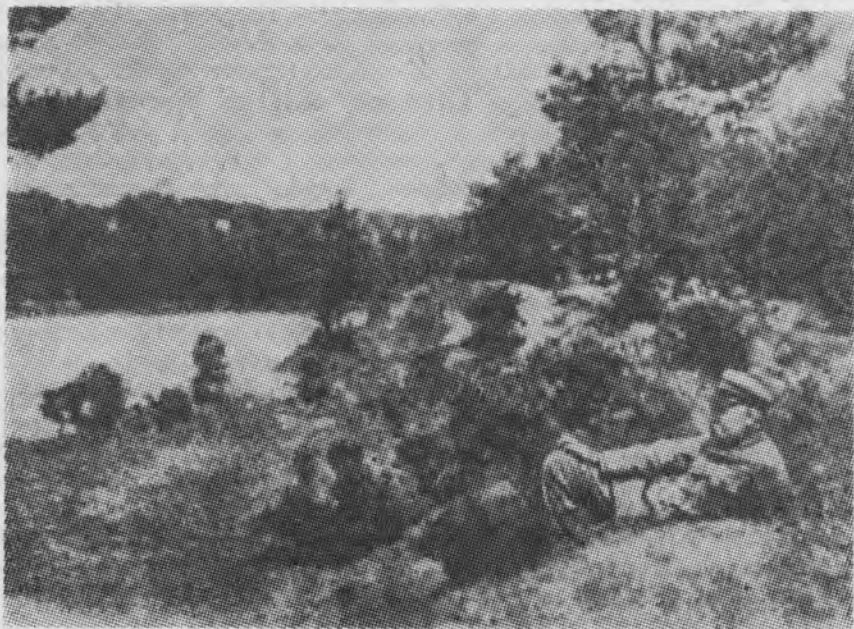
Opisałem z nadmierną szczegółowością ten dzień, nie by epatować anegdotkami i śmiesznie dziś często brzmiącymi zdaniem z prasy białostockiej, lecz by pokazać ówczesny ceremoniał, gusty jednych, wyobrażenia innych. Nie ulega natomiast wątpliwości, że był to bardzo pracowity dzień dla Józefa Piłsudskiego, a zapamiętany na trwałe przez społeczność miasta.

PODRÓŻNY

J. Piłsudski dość często i z upodobaniem jeździł do Wilna. Trasa kolejowa wiodła przez Białystok, tu też parowóz nabierał wodę. Przejazdy te miały wprawdzie charakter z reguły prywatny, ale przecież i tak wiadano o nich, wiedział również wojewoda białostocki. Za każdym razem przedstawiciele władz wychodzili na dworzec z nadzieją, że zostaną zauważeni przez jadącego i dojdzie do krótkiej rozmowy. Jednocześnie pani wojewodzina przysyłała obiad lub inny posiłek, zależnie od pory dnia lub nocy. Nie zawsze jednak Marszałek prosił wojewodę do salonki

(tak się stało na przykład 20 kwietnia 1933 r.) i dostrzegał obecność gospodarzy.

Przez Białystok wiodła i droga do Druskienik, ulubionego miejsca letniego wypoczynku, kurortu nadniemeńskiego, położonego wówczas w granicach województwa białostockiego.



Nad brzegiem Niemna. Marszałek w Druskienikach. Z „Dziennika Białostockiego” (egzemplarz udostępnił Stanisław Bałdyga)

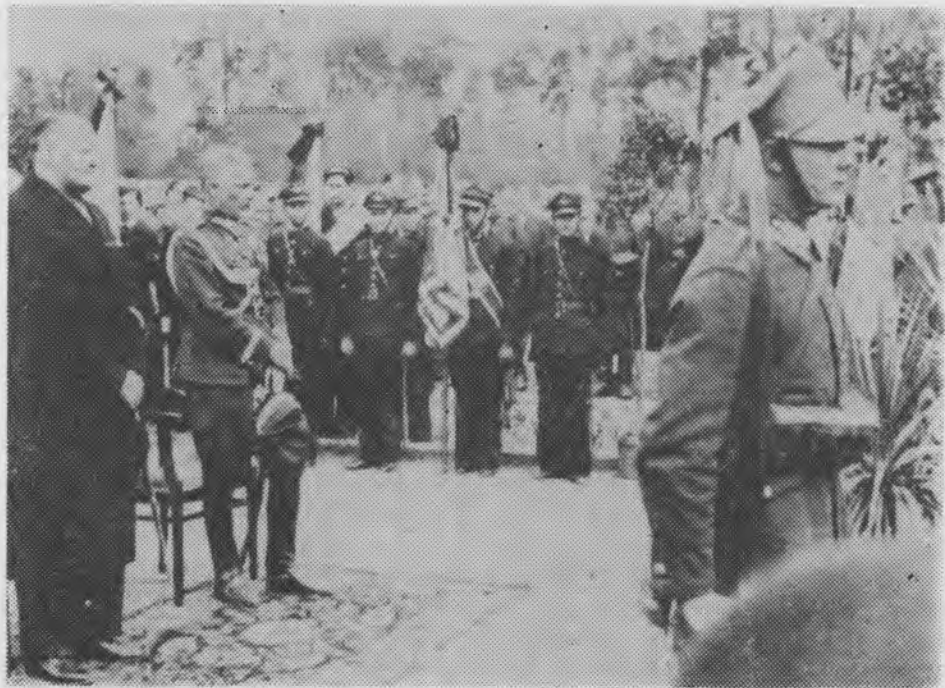
zreprodukował Andrzej Sokólski.

Bywał wreszcie Komendant na świętach pułkowych, zwłaszcza połączonych z wręczaniem sztandarów, miał także w naszym regionie starych towarzyszy walk. W Grodnie, podczas obiadu, powiedział: „... moi Panowie, gdy teraz w tych czasach mijam Bug i Narew, gdy do moich piersi doleci zapach sosny i szum borów rodzinnych, gdy spojrzę na tę ziemię, na jej obecny, wolny oddech, wyznaję szczerze, że duma mnie przenika” (4 X 1921 r.).

OSTATNIA PODRÓŻ

W nocy z 17 na 18 marca 1935 r. Józef Piłsudski po raz ostatni wyjechał do Wilna, skąd wrócił 20 marca. Ostatnią Wielkanoc spędził w Belwedercze, zmarł 12 maja. 31 maja tłumy zebrały się na dworcu w Białymstoku. O godz. 2.47 wjechał wagon, w nim stała jasno oświetlona srebrna urna z sercem zmarłego. Panowała cisza, dominował nastrój i kolor żałoby. Po 15 minutach pociąg ruszył w kierunku Wilna, gdzie 12 maja ale 1936 r. odbył się uroczysty pogrzeb Matki i serca Syna; na cmentarzu na Rosie były obecne i liczne delegacje białostockie.

W ostatnich latach II Rzeczypospolitej przybywało w naszym mieście aktów upamiętniających Józefa Piłsudskiego. Jego imię otrzymała ulica Lipowa, gimnazjum przy ul. Warszawskiej (gmach pod filarami, obecnie w użytku Filii UW), nowo wznoszony Dom Ludowy (obecnie Teatr Dramatyczny im. A. Węgierki) z popiersiem Marszałka. Wdowa po nim do stała od legionistów Kamienny Dwór na trasie z Łap do Brańska, odwiedzano aż do wybuchu wojny przez zaufanych generałów i polityków. Nasilający się kult, łączący w sobie i elementy „przedobrzone”, przer-



12 maja 1939 r. na plantach w Białymstoku. Msza żałobna za Józefa Piłsudskiego.
Z albumu Konstantego Pilawskiego.

Reprod. Mariusz Olkowski.

wała przegrana wojna 1939 r. Po wyzwoleniu wydano walkę wszystkiemu, co kojarzyło się z tym Polakiem, nie zważając na odczucia mieszkańców. Takie działania zwykle rodzą ukryty opór, wzmacniają jeszcze bardziej wątki irracjonalne. To mamy poza sobą, choć upłyną jeszcze lata nim — jak sądzę — utrże się w miarę zgodna opinia o Józefie Piłsudskim, odda mu się należne słowa zasługi, nie zapominając o popełnionych błędach. Tak stanie się z pewnością również w Białymstoku.

Adam Dobroński



ALEKSANDER SULKIEWICZ — RÓWIEŚNIK I PRZYJACIEL JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

W konspiracji nazywano go najczęściej „Michałem”, niekiedy był też „Czarnym Michałem” rzadziej „Robertem”, „Małym” lub „Tatarem”. Wśród Legionistów nosił przydomek „Turka”. Kim był Aleksander Sulkiwicz? Tatarem polskim pochodzącym z północno-wschodniej Suwalszczyzny. W II połowie ubiegłego stulecia znajdowała się tam nieduża kolonia ludności pochodzenia tatarskiego. Jej centralnym miejscem była wieś Winksznupie w powiecie marian-polskim, z meczetem i cmentarzem muzułmańskim. Aleksander urodził się 8 grudnia 1867 r., załedwie w trzy dni po przyjeździe na świat Józefa Piłsudskiego. Jego ród od dawna osiedlony był w Rzeczypospolitej. Jak głosiła legenda rodzina Sulkiwicz mieli się wywodzić od księcia tatarskiego Jaloira, który przybył na Litwę wraz z wojownikami królewicza złotoordyńskiego Dżelal-Eddina, aby wesprzeć wojska Władysława Jagielly w walce z Krzyżakami. Ponoć ów książę walczył pod Grunwaldem, a po zawarciu pokoju toruńskiego w 1411 r. pozostał na zawsze na Litwie.

Aleksander Sulkiwicz wychowany został w duchu prawowiernego islamu i odmiennej od przeważającego żywiołu polsko-katolickiego tradycji obyczajowej — jak pisał o nim w 1984 r. w „Tygodniku Powszechnym” Andrzej Szomański. Ale podkreślił przy tym, że w rodzinie jego podobnie jak w większości rodzin polskich pochodzenia tatarskiego własne tradycje pielęgnowano w zgodnej harmonii z umiłowaniem polsko-litewskiej ojczyzny, i poszanowaniem odmiennych obyczajów współziomków. Matka Aleksandra, Rozalia z Kryczyńskich zachowała przez całe życie w pamięci wydarzenia lat 1863—1864. Jej brat Stefan Kryczyński za udział w Powstaniu Styczniowym skazany został na karę śmierci, zamienioną na zesłanie do jednej z azjatyckich gubernii Rosji. Ojciec, Stefan Sulkiwicz służył natomiast w wojsku rosyjskim. Będąc w stopniu rotmistrza porzucił służbę i wraz z rodziną wyjechał do Turcji. Tam wkrótce zmarł ok. 1877 r., a matka z Aleksandrem powróciła na Suwalszczyznę. Będąc uczniem Szkoły Miejskiej w Sejnach Sulkiwicz włączył się do działalności politycznej przystępując do II Proletariatu. Po ukończeniu nauki rozpoczął w 1890 r. pracę w komorze celnej we Władysławowie, później zaś w Kibartach. Będąc muzułmaninem mógł pracować na stanowiskach niedostępnych dla Polaków. W 1892 r. wraz z grupą działaczy II Proletariatu uczestniczył w zjeździe polskich socjalistów w Paryżu, na którym to powołano Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich. Jako jej główny program wysunięto walkę o niepodległość Polski, którą mieli toczyć robotnicy jednocześnie walcząc o swe prawa polityczne i ekonomiczne. Aleksander od samego początku został aktywnym działaczem PPS. W pracy konspiracyjnej związał się blisko z Józefem Piłsudskim, pozostając do końca życia jego wiernym towarzyszem. Dzięki zajmowanemu stanowisku w komorze celnej w Kibartach mógł nielegalnie przetrzucać do zaboru rosyjskiego literaturę konspiracyjną, w tym organu PPS „Robotnik”. Wybierany był często razem z Piłsudskim do najwyższych władz tej organizacji — Centralnego Komitetu Robotniczego. Gdy w 1900 r. aresztowano Piłsudskiego zorganizował wraz z innymi członkami działalności konspiracyjnej jego ucieczkę ze szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, w którym aresztowany symulował obłąd. Po jej pomyślnym finale Piłsudski wraz z Sulkiwiczem udali się wpierw do Tallina, a potem na Polesie, gdzie w majątku Czysta Łuża Piłsudski spotkał się z żoną. Przeczekano tam miesiąc, po czym Piłsudscy wyjechali do Szwajcarii, aby stamtąd udać się do Galicji, a Sulkiwicz wrócił znów na Suwalszczyznę. Jednak zaczęły się dla niego kłopoty.



Aleksander Sulkiewicz w mundurze legionisty

Oto przez nieostrożność jednego z towarzyszy konspiracji, żandarmi carscy wpadli na trop jego nielegalnej działalności. Nie zdołano mu jednak niczego udowodnić i po kilkumiesięcznym pobycie w warszawskiej cytadeli został wypuszczony na wolność. Nie mógł już powrócić do poprzedniej pracy, ale nie zaprzestał udziału w konspiracji.

Od 1906 r., gdy doszło do rozłamu w PPS, związał się z jej prawicowym odłamek — Frakcją Rewolucyjną. Przebywał wówczas na emigracji w zaborze austriackim; mieszkając z rodziną w Krakowie, to w Zakopanem. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej wkroczył w szeregi oddziału strzeleckiego do zaboru rosyjskiego, przystępując do działalności

niepodległościowej. Był jednym z założycieli Polskiej Organizacji Wojskowej w powiecie łódzkim. W 1915 r. działał w Warszawie, gdzie nawet na krótko został aresztowany przez Niemców. Tego samego roku wstąpił do I Brygady Legionów i mimo iż miał w tym czasie 48 lat — na własną prośbę został skierowany na front. Jako Legionista dosłużył się stopnia sierżanta. Zginął bohaterską śmiercią podczas walk na Wołyniu 18 września 1916 r.

Aleksander Sulkiwicz był żonaty z Jadwigą Balicką, z którą miał troje dzieci. Nie zmienił swego wyznania, choć jego żona i dwie córki były katoliczkami. Natomiast syn wychowany był w tradycji muzułmańskiej. W jego działalności konspiracyjnej pomagali mu także niektórzy Tatarzy polscy m.in. Jan Wilczyński, wywodzący się z Suwalszczyzny i Stefan Bielak, swagier Sulkiwicza, dzięki któremu prawdopodobnie poznał Piłsudskiego. Stefan Bielak był w latach 1892 — 1897 aplikantem w Sądzie Okręgowym w Wilnie. W jego mieszkaniu w Zaułku Mahometańskim i później przy ul. Garbarskiej ukrywali się często działacze PPS oraz przechowywano tam nielegalną prasę.

W latach międzywojennych, dzięki staraniom społeczności tatarskiej i przy poparciu czynników rządowych, prochy Aleksandra Sulkiwicza zostały sprowadzone z Cmentarza Legionistów na Wołyniu i powtórnie pochowane na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie. Było to także osobistym życzeniem Marszałka Józefa Piłsudskiego. Lecz nie było mu sądzone uczestniczyć w tej uroczystości, gdyż miała ona miejsce w 5 miesięcy po jego zgonie, 8 listopada 1935 r. Aleksander Sulkiwicz został odznaczony pośmiertnie Krzyżem *Virtuti Militari*. Jego grobowiec znajduje się po dziś dzień na Cmentarzu Powązkowskim, dawnym Wojskowym. W latach późniejszych spoczęła w nim także najbliższa rodzina Sulkiwicza. Zajmuje on czołowe miejsce w panteonie bohaterów Tatarów polskich, ale nie tylko. Przede wszystkim należy do grona walecznych Polaków, którym zawdzięczamy odzyskanie niepodległości po 123 latach niewoli narodowej.

Ali Miśkiewicz



METROPOLITA EDWARD ROPP I JEGO ODZNAKA „ZA OJCZYZNĘ”

W okresie II Rzeczypospolitej ustanowiono wiele odznak pamiątkowych związanych z uzyskaniem niepodległości i walkami o ukształtowanie granic wolnej i niepodległej Polski. Szczególnie w latach 1927 — 1928 w związku z przygotowaniami przypadającej 10 rocznicy odzyskania niepodległości chciano utworzyć wiele odznaczeń i odznak honorowych. Część z nich doczekała się realizacji. Inne zaś z różnych powodów (politycznych, ideologicznych) nigdy nie uzyskały oficjalnego zatwierdzenia przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych lub Spraw Wojskowych i pozostały w mroku zapomnienia.

Uroczyscie przygotowywano się w Polsce do obchodów 10 rocznicy odzyskania niepodległości — jednym z jej akcentów miało być nadanie „Odznaki Honorowej Za Ojczyznę”. Tą honorową „odznaką obywatelską” chciano uhonorować zasługi w pracy narodowej na kresach, „w szczególności na terenie Litwy, Białej Rusi i Rusi”. Odznaka ta więc związana jest też z dziejami naszego regionu.

Na czele komitetu zajmującego się opracowaniem projektu statutu odznaki i jej zatwierdzeniem przez władze państwowe stanął arcybiskup mohylewski i metropolita Rosji Edward Ropp. Był on największym orędownikiem utworzenia odznaki honorującej walkę o sprawę polską na terenie zaboru rosyjskiego i Rosji. Osoba arcybiskupa Roppa, głównego animatora utworzenia odznaki „Za Ojczyznę” wywarła niewątpliwy wpływ nie tylko na inicjatywę utworzenia komitetu honorowego ale również była próbą odegrania przez niego pewnej roli politycznej w owym okresie. Aby w pełni zrozumieć ideę utworzenia odznaki „Za Ojczyznę” należy przybliżyć czytelnikom sylwetkę zapomnianej dziś osobowości jaką był baron, ksiądz, poseł do parlamentu i działacz polityczny związany z ruchem narodowym na kresach — Edward Ropp.

Szczególnie interesująca jest działalność arcybiskupa Roppa na terenie Litwy i Białorusi w okresie przed I wojną światową. Był on jednym z najgorętszym orędownikiem pracy narodowej na kresach wschodnich. Pochodził baron Edward Ropp z Liwonii w pow. dźwińskim. Matką jego była Izabella z hrabiowskiej rodziny Plater-Zyberk. Po ukończeniu uniwersytetu wstąpił młody hrabia na służbę rządową (do 1879), będąc już księdzem osiadł w rodzinnej Niszczycy w gub. witebskiej. Był proboszczem w Libawie, następnie kanonikiem generalnym kapituły żmudzkiej, w 1902 r. mianowany został biskupem tyraspolskim z rezydencją przy katedrze w Saratowie, zaś rok później biskupem wileńskim. Rozpoczął wtedy działalność narodową narażając się przy tym władzom oraz miejscowym nacjonalistom. W 1906 r. założył stronnictwo „Konstytucyjno-Katolickie na Litwę i Białoruś”. Interesujące były założenia programowe stronnictwa. Jako łącznik wszystkich narodowości zamieszkujących ziemie dawnego Wielkiego Księstwa uznano wspólną religię i na tej bazie chciano stworzyć organizację polityczną. Zamierzano zaprowadzić bezpłatne szkoły ludowe w języku ojczystym z obowiązkową nauką religii, z uwzględnieniem języka państwowego, z nauczycielami narodowości polskiej. Chciano doprowadzić do rozdziału szkół (chrześcijańskie i niechrześcijańskie), powiększenia liczby szkół średnich i oddania ich pod zarząd miejscowych samorządów. W programie stronnictwa zapisano także dążenie „do ułatwień rozszerzenia własności mniejszej bez wyzysku i nabywców, przy zastosowaniu pomocy państwowej; do rostrzygania spraw spornych (agrarnych) przez sądy rozjemcze; do swobody w urządzaniu związków i wieców i prawa do strajków, (przy czym i tu proponowane są sądy rozjemcze przez osoby wybrane z obu stron), do naprawy

wszelkich krzywd kościołowi wyrządzonych, do wskrzeszenia diecezji skasowanych (...)”.

Stronnictwo bp. Roppa opierało się w swojej działalności politycznej na manifestie z 30 października 1905 r. Utworzono w Wilnie komitet zajmujący się urządzeniem wieców, kierownictwem organizacyjnym partii oraz układaniem list kandydatów do Dumy (rosyjskiego parlamentu). Z ramienia stronnictwa został też bp. Ropp posłem polskim do Dumy z gubernii wileńskiej. Nie wpłynęło to jednak pozytywnie na dalsze losy Roppa. Programem stronnictwa naraził się litewskim narodowcom. Punktem zasadniczym było stanowisko biskupa względem języka państwo-



Metropolita Edward Ropp (1851 — 1939); zdj. z 1906 r.

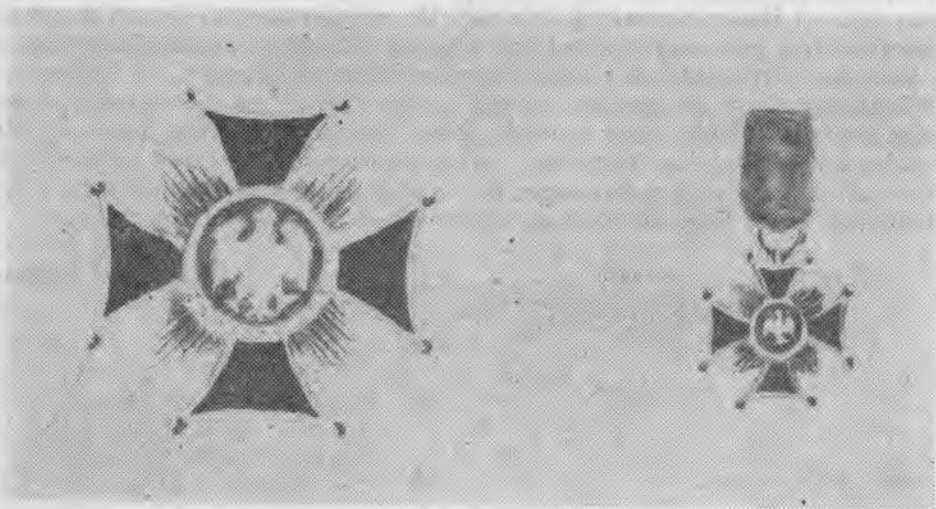
wego w kościołach. Zarządzano dymisji Roppa i usunięto go z Wilna i Litwy w 1907 r. Wysiedlony z Wilna biskup zamieszkał w majątku rodzinnym w Niszczy. Papież Benedykt XV 25 lipca 1917 r. mianował go arcybiskupem mohylewskim. Była to niezmiernie odpowiedzialna funkcja biorąc pod uwagę rewolucyjne przemiany zachodzące na terenie ówczesnej Rosji. Archidiecezja mohylewska była metropolią rzymsko-katolicką obejmującą cały obszar Rosji. Aresztowany metropolita Ropp 29 kwietnia 1919 r. przez władze bezpieczeństwa zdołał uniknąć losu bp. Jana Ciepłak i powrócił do Polski. Nie włączył się już w nurt walki politycznej. W 1936 r. obchodził 50-lecie kapłaństwa. Zmarł w Warszawie 25 lipca 1939 r.

Nic więc dziwnego, że bp. Ropp tak intensywnie zaangażował się w ideę ustanowienia odznaki honorowej „Za Ojczyznę”. Nie miała ona mieć charakteru państwowego lecz być — jak zakładali autorzy „statutu” — odznaką pamiątkową i obywatelską. Zakładano, iż odznakę może otrzymać każdy Polak „który uczciwie, gorliwie i wydatnie na terenie Rosji lub zaboru rosyjskiego dla polskości pracował w szkołach, organizacjach, kościołach, w sztuce, piśmiennictwie, urzędach lub prywatnie z narażeniem mienia, wolności osobistej i życia, oraz instytucje, które celom narodowym wечно służyły”. Odznakę miano przyznawać także pośmiertnie. Zakładano również przyznawanie odznaki honoris causa. Mieli ją otrzymywać cudzoziemcy oraz Polacy zasłużeni dla krzewienia polskości z terenu innych byłych zaborów.

Przyznawaniem znaku „Za Ojczyznę” zająć się miała kapituła dwuosobowa pod przewodnictwem prezesa — metropolity Edwarda Roppa. Można było zgodnie z założeniami statutu samemu wystąpić o dekorację odznaką. Należało w tym wypadku dostarczyć odpowiednie dokumenty „poparte odpowiednimi dowodami i poręczającym zeznaniem przynajmniej trzech poważnych, znanych Kapituł obywateli polskich”. Wnioski na odznaczenie składać też mogły różne instytucje i organizacje społeczne.

Przygotowany przez Roppa i jego współpracowników statut precyzował dokładnie okres działalności pierwszej kapituły, zwolywanie posiedzeń, używanie pieczęci z podobizną odznaki i napisem „Pieczęć Kapituły Odznaki Za Ojczyznę” oraz reprezentowanie kapituły wobec władz.

Jak miała wyglądać owa odznaka honorowa „Za Ojczyznę”? Podobna



Projekt rysunkowy odznaki „Za Ojczyznę”.

była bardzo do nadawanego wówczas Krzyża Zasługi. W środku krzyża równoramienneo umieszczono na biało emaliowanego orła z napisem w dole: ZA OJCZYZNĘ. Ramiona krzyża pokryte być miały zieloną emalią, orzeł na karminowym (być może planowano barwę amarantową lecz plastik użył złego koloru) tle, takąż sama wstęga na której miano zawiesić krzyż. Odznaka miała być noszona na piersi na śrubce, zaś miniaturka na wstędze orderowej.

Przygotowany statut wraz z projektem rysunkowym odznaki w styczniu 1927 r. był przedmiotem obrad Prezydium Rady Ministrów przekazany także przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, które wobec niego zajęło stanowisko negatywne: „sam projekt stworzenia nowej odznaki dla upamiętnienia zasług położonych na terenie Rosji w czasie wojny — zdaje mi się zbędny ponieważ za tę działalność została odznaczona znaczna ilość osób, przyczem w roku 1925 na wniosek MSWojsk, nadano 7 odznak różnych klas Orderu Odrodzenia Polski oraz 4 złote i 12 srebrnych Krzyży Zasługi. Jednocześnie na wniosek p. podsekretarza stanu Dr. Studzińskiego ustalono, że lista odznaczeń r. 1925 będzie ostateczną za tę działalność”.

Zanegowało więc ministerstwo potrzebę utworzenia nowej odznaki. Miano też sporo zastrzeżeń do samego statutu. Nie do przyjęcia było pojęcie odznaki honorowej. Honorowe mogły być wówczas jedynie ordery i odznaczenia nadawane przez prezydenta lub przedstawiciela rządu. Za niewskazane uważano przede wszystkim nadawanie odznaki „honoris causa” obywatelom polskim oraz cudzoziemcom. Obawiano się w tym ostatnim przypadku aby za granicą nie pomyślano, iż w Polsce w dziedzinie odznaczeń panuje chaos. Nie chciano przede wszystkim wyrzucić wśród cudzoziemców wrażenia, że w Polsce każdy może tworzyć i nadawać te odznaczenia prywatnie co jak pisano w piśmie „jest tem kłopotliwsze, że zwykle nadający te odznaczenia pragną otrzymywać, względnie liczą na otrzymanie orderów i odznaczeń zagranicznych”.

Odznaka „Za Ojczyznę” zbyt ponadto przypominała Krzyż Zasługi. Jako prywatna odznaka posługująca się regulaminem i komisją nadawczą nie mogła ona być też noszona na wstędze orderowej. Również zgodnie z ustawą o godle i barwach Rzeczypospolitej rysunek orła na odznace winien być zbliżony do wzoru orła zgodnego z ustawą z 1919 r.

Mimo to z początkiem 1928 r. znów powrócono do sprawy odznaki „Za Ojczyznę”. Zbliżała się przecież rocznica odzyskania niepodległości i wszystkim zależało na jak bardziej uroczystym obchodzeniu 10 rocznicy narodzin II Rzeczypospolitej Polskiej. Do zatwierdzenia odznaki dążył też komitet pod przewodnictwem metropolity Edwarda Roppa. Nieznane są dalsze losy urzędniczych potyczek o zatwierdzenie odznaki „Za Ojczyznę”. Wiadomo jednak, iż odznaki tej nie zatwierdzono i na 10 rocznicę odzyskania niepodległości nikt nie został nią odznaczony. Idea dekoracji odznaką honorową „Za Ojczyznę” zasług położonych na rzecz polskości na kresach wschodnich podniesiona przez arcybiskupa mohylewskiego i metropolitę Rosji Edwarda Roppa nigdy nie doczekała się realizacji.

Krzysztof Filipow

WYDOBYTE Z PAMIĘCI

Z pamięci wylaniają się strzępy zapamiętanych zdarzeń, odartych przez upływający czas z dramatyizmu. Pozostają ułamki przekazywane z pokolenia na pokolenie, tworząc dziwną i zarazem naturalną kronikę ludzkich przeżyć, daleką od historycznych procesów dziejowych, które powołały je do życia. Zdaje się, że powstają obok Historii, że z dramatów Historii nie przejmują konwulsyjnych wydarzeń, pałetycznych obrazów — rejestrując drobne epizody, utrwalone w dziecięcej pamięci.

Historia międzywojenna utrwalona została również w pomnikach. Przed całą Lubnikami, w której mieszkam, stoją krzyże, przed którymi żegna się zmarłych mieszkańców wsi. Przed tymi krzyżami, zwanymi „przebaczalnymi” — wszak tu prosi się w imieniu zmarłego o darowanie win, stoi pomnik a na nim wykuty napis:

Jan Brański, żył lat 19, zginął w obronie Ojczyzny

1920 — 1938 (data wystawienia)

Wiele innych pomników, zwykłych polnych kamieni jakby odbijających szarość życia chłopskiego — przypomina przeszłość pisaną niejednym ludzkim, dramatycznym losem ukrytym w niepamięci tej ziemi. Na grobach poległych w roku 1920 nie pisano daty zastępując ją określeniami: zginęli w wojnie, w obronie Ojczyzny. I na kartach powojennych pdręczników historii zaznaczono nieśmiało tę datę, okraszając niewyważonym, często obrzydliwym komentarzem.



„U nas, w Halickich, w naszym domu mieszkało wojsko bolszewickie. Miała ja wtedy 10 lat, niewiele pamiętam, to tylko pamiętam, że była wojna, jedna po drugiej, że wszyscy się bali że Polski znowu nie będzie. Zapamiętała ja jeszcze i to, że jeden z żołnierzy zdjął mnie z płota, ostrzegając; „nie lizia dziewczuszka smatrec”. Jakiś strach mnie opanował, nie patrzyłam więcej, ale tatko mój opowiadał, że słyszał rozmowę zza ściany „szto nada nam udierać, nie pajdziom my už u Warszawu”. Tyle pamiętam, niewiele, ale dobrze już pamiętam ich przyjście w 1939 roku. I do dziś nie zapomnę: „nie lizia dziewczuszka smatricieć” — to za mną chodzi, nie pozwala mi żyć, po nocach wraca. Nie wiem czemu”.



W gąszczu bzów ukryta w Zabłudowie kaplica cmentarna św. Rocha, klasyczna w swojej bryle, otulona od północy starym drzewostanem. Na tylnej ścianie kaplicy, na nieczynnym od wielu lat cmentarzyku, tablica c której niewielu mieszkańców Zabłudowa pamięta. Ale tablica wykonana z trwałego materiału, jak gdyby dopominała się o ludzką pamięć.

Poległym za Ojczyznę Synom Ziemi Zabłudowskiej

1918 — 1920 RODACY

Stanisław Obukowicz z Zabłudowia l. 16

Ignacy Godlewski z Zabłudowia l. 22

Józef Borysiewicz z Dobrzyniówki l. 20

Antoni Jabłoński z Krynickich l. 20

Jan Harasimczuk z Lubników l. 27

Jan Brański z Lubników l. 20

Jan Szostowicki z Ostrówek l. 20

Wincenty Motowicki z Protas l. 18

Michał Ruminowicz ze Skrybicz l. 19

Michał Wasilewski z Zagruszann l. 19

Mikołaj Michalczuk z Zagruszan l. 19



98

— Dworakowski



„Przegląd Katolicki” w nr 28 z 1988 roku pisząc o Białymstoku, jego historii i teraźniejszości, o jubileuszu Archidiecezji Wileńskiej pomieszcza następujący akapit, przybliży historię nie zawsze zrozumiałą i dopowiedzianą:

„Chwila niepodległości, a już w lipcu dwudziestego roku na tyłach Armii Czerwonej powstaje w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, który „instaluje się” rzecz jasna, w pałacu Branickich — fakt ten upamiętnia tablica umieszczona w bramie wjazdowej. Spod pióra kogoś z grupy Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i Kona wyjść musiała ulotka pisana na krótko przed załamaniem się ofensywy: „Żołnierze polscy, chłopcy i robotnicy. Dla jaśniepanów polskich wybiła ostatnia godzina... Obecnie robotniczo-włościańska Czerwona Armia od obrony przeszła do decydującej walki ze zgrają magnaterii i kapitalistów na czele ze sprzedawczykiem Piłsudskim... Jeśli chcecie wolnej, niepodległej Robotniczo-Włościańskiej Polski Sowieckiej, broń swą zwróćcie przeciwko oficerom i żandarmom. Spieszcie się, żołnierze polscy, nie zwlekajcie, korzystajcie z momentu! Obróćcie front i z bronią w rękę uderzcie na dziedziców i fabrykantów. Naprzód, na pomoc bolszewikom warszawskim!”.



„Panie — wojna to krew i zabijanie. Nie pamiętam już czy była to pierwsza wojna, czy najazd bolszewików czy też druga wojna. Palily się nasze domy, dzieci chowali my po kopcach, panie — po każdej takiej wojnie to głód i zaczynanie życia od nowa. Pamiętam dzisiaj jak przez mgłę żołnierzy z karabinami na sznurkach, w porwanych szynelach, nie przypominali w niczym naszego wojska, nasi jak szli to od nich aż blask bil.. Sporo zginęło, może też matki długo szukały ich grobów”.



A. Borkiewicz i St. Grzegorzczak w pracy zatytułowanej „Walki I-go p.p. legionów o Białystok na tle bitwy warszawskiej w 1920 r.” dokonali drobiazgowego opisu walk toczonych na Białostoczczyźnie. Przytaczam niewielki fragment, wszak walki toczyły się w sąsiedniej wsi. „Nad wieczór zaczął padać deszcz. Na czele batalionu jechał znów ppr. Chmura ze swym oddziałem. W straży przedniej szła 5-ta kompania pod dowództwem ppr. Hempla Zygmunta. Na dwa kilometry przed wsią Zwierki oddział konny dostał się nagle pod ogień ze wzgórza 156 za strumieniem Mieletyca i z lasu na wysokościach pod folwarkiem Rafałówka. Oddział zawrócił szybko i wycofał się, by nie tracić koni. Zagrały rosyjskie karabiny maszynowe. Przedni pluton podchorążego Galińskiego Michała bez wahania zaczął posuwać się w stronę nieprzyjaciela rowami przydrożnymi, ruch plutonu poparł ogniem przydzielony doń karabin maszynowy st. leg. Posiaka Antoniego. Za nim rozsypała się po obu stronach szosa tyraliera 5-tej kompanii a następnie 7-ej, która otrzymała rozkaz uderzyć na wieś Zwierki od zachodu, od strony wsi Łubniki”.



Może zachowały się fotografie rejestrujące powitanie wojsk sowieckich, po dziewiętnastu latach — 17 września 1939 roku. Z Łubnik udekorowanym zaprzęgiem konnym pojechał witać nadciągające wojska sołtys. Możliwe, że w kadrze zostały zatrzymane twarze witających i twarze wchodzących

żołnierzy. Może na twarzach witających zarejestrowany został fałsz uśmiechów, nieszczerze wznoszone dłonie w geście powitania, może fotografie często kłamliwe w swojej naturze przez retusz, utrwaliły jednak ów ledwie dostrzegalny fałsz a może fałsz ukryły w swojej poźólkłej przemijalności, zachowując tylko gesty przypisane określonym stanom ducha.



„Nie mam żalu, to już tyle lat minęło — mówi mieszkanka wsi Lubniki — pierwszego września 39 roku wrócił mąż tylko z dugą (konia trzeba było odstawić, on pierwszy poszedł na wojnę), a po siedemnastym września, choć stawiano bramy powitalne, przy którym uroczystie „wstreczano” wojska sowieckie, wygłaszano przemówienia „my was tak douho zdali” — pozostał piekący ból, żal jakby do całego świata i do ludzi, do tych szczególnie z którymi żyło się po sąsiedzku, w zgodzie przez tyle lat, nie podejrzewając, że można w ciągu jednego dnia zdradzić swoją Ojczyznę. Zdrada to największy grzech — od niej nie ma ucieczki jak człowiek się raz jej zaprzeda. A teraz wszyscy jakoś do niej przywykli i spokojnie żyją.

Opowiem ci jeszcze jedną historię, chyba weselszą — kiedy Sowietci przekroczyli nasze wschodnie granice, pamiętam, kopiliśmy kartofle a mój teść pobliską drogą pędzi krowy na pastwisko. Podszedł do mnie jeden z mieszkańców wsi Lubniki, cierpiący na wadę wzroku i mówi, wskazując na idące drogą krowy: „Podziwisie Józia jak samochody jedut, tam u naszych to balszaja technika, to nie to szto tut było. Podziwisie jak odzin za drugim jedut”. Tłumaczę, że to mój teść krowy popędził. Nie przekonało go to jednak, trwał przy swoim, zarzucając mi nieznamość świata.

I jeszcze jeden głos, innego sąsiada, ten głos wiele lat we mnie żyje: „szto ty tak dziwisie (patrzysz - przyp. J.L.) u niebo, uże na nim polskije samoloty letaci nie budut, tolko naszy”.

Pozostały po dzień dziesięjszy podziały, a zrodziły się chyba w tym piekielnym roku 1939, kiedy to diabelskie moce rozpętały burzę wojny nad naszym krajem, wprowadzając śmierć i zniszczenie. I te straszne podziały, które zatruwają nas po dzień dziesięjszy nienawiścią.



Szare kamienie pod którymi drzemie Historia Niedopowiedziana, zdaje się, że wyrastają z ziemi rodząc drobne kamienie i kamyczki, upamiętniająca tysiące, setki tysięcy wywiezionych do łagrów, ponizonych i zbołałych, bezbronnych.

Jan Leończuk

BYŁ RITZ, NIE MA NIC

W 1913 roku w Białymstoku otwarto wspaniały hotel. Obiekt miał kilkadziesiąt gościnnych pokoi, restaurację, bank, salę bilardową, fryzjera. Do tego dochodziła własna centralka telefoniczna, sieć centralnego ogrzewania. Ritz był perłą wśród gościńców Podlasia. Obiekt przeżył dwie wojny, był jedynym hotelem Spółki Ritza w Polsce. W lipcu 1944 roku. podczas wyzwolania miasta budynek spłonął.

Historia Ritza jest od dwóch lat prezentowana na łamach Kuriera Podlaskiego. Tym razem przedstawiamy dzieje Ritza od strony obyczajowej. Klimat hotelu, ale także tamtych lat, tamtego miasta.

Zbigniew Różycki trafił do Ritza jako sześciolatek. Otóż jego ojciec, Zygmunt został tam dyrektorem. Do dziś pan Zbigniew wspomina hotel jako nieprzeciętny budynek. Wchodziło się do środka przez obrotowe, kryształowe drzwi. Przed bramą zaś stały dorożki. Wystarczyło tylko kiwnąć palcem aby dorożkarz pognał w kierunku klienta. Zimą przewożono pasażerów sałmi.

W latach 30 hotel należał do spółki Rabinowicz-Milikowski. Mały chłopiec boleśnie poznał chlebobawców swojego ojca. Otóż, na imieniny otrzymał wspaniałą zabawkę-auto, zwane wówczas drezyną. Auto zbudowane było z drewna a napędzane „kiryką” —pedałami. Zbigniew pamięta, że pierwsze kroki, jako kierowca, stawiał na korytarzu hotelu. Na podłodze leżał zielony chodnik z półtora metra szerokości. Zbigniew jeździł bez opamiętania chyba z godzinę. Wtem na piętrze zatrzymała się winda. Ritz był jedynym obiektem w mieście, który miał windę. Z pięknie okratowanej, zdobionej w kute liście, wewnątrz podświetlanej windy, wyszło dwóch panów.

— Czyj jesteś chłopcze? — mile zapytali.

— Mój tatuś jest dyrektorem — odpowiada dumnie chłopiec.

— A czy nie wiesz, że nie wolno tutaj jeździć?!

Gumowe koła zostawiają ślady!

— Jakie tam ślady, przecież jeżdżę pomału!

Spotkanie zakończyło się tegim laniem dla chłopca. Tajemniczymi dżentelmenami byli właściciele hotelu, którzy zmyli głowę dyrektorowi. A ten...

Co zapamiętał pan Zbigniew z tamtych lat? Kilku pracowników hotelu. Kotłownią rządził tam Niemiec Pryfer. W podziemiach hotelu grasowały tabuny dzikich kotów. Pryfer łapał zwierzaki do worka. Potem tłukł nim o ziemię i ogłuszone stworzenia topił w pobliskiej Białce. Na skrzypcach grał Żyd „Pawełek”. Był nie tylko wirtuozem, ale także ekwilibrystą. Podrzucał do góry instrument, robił półobrót i grał dalej. W 1938 roku ułożył nawet własną piosenkę. W czasie wojny wyjechał do Rosji. Jednym z lepszych kelnerów był pan Marciniak. Po wojnie założył własny interes na ul. Warszawskiej. Jego obiady w latach 40 były znane w całym mieście. Akrobatykę w programach rozrywkowych uprawiała Brzezińska. Była piękna. Zaczytywała się „Żywotami pań swawolnych”. Była powiązana z półświatkiem. Widziano ją często w towarzystwie oficerów, ale także dzielnicowych apaszy. Ulica rządziła się wtedy twardymi prawami. „Dżentelmeni” ze społecznych dołów załatwiali swoje porachunki w pojedynkach. Rozbierali się do pasa, rękę aż po ramię obwijano w marynarkę, w drugą brano nóż i walczono. Podczas skoku złodziei na kasę w Warszawie Brzezińska sypnęła kogoś. Z zemsty pokiereszowali jej twarz nożem.

Zygmunt Różycki był dyrektorem z klasą. Do tej pory hotel nie miał własnego wozu. Napisał więc list do stołecznego przedstawiciela firmy Citroen. Firma pojawiła się w Białymstoku z nowiutką czarną limuzyną.



Na próbę zajechali do Zwierzyńca po flakony na kwiaty. Z kupna wozu jednak Różycki zrezygnował. Nowa maszyna była zbyt droga. W końcu hotel zakupił używaną torpedę — bordowego Auster-Daimlera. Fason był nie z tej ziemi. Auster miał jeszcze drewniane koła ze szprychami, biegi zlokalizowane na zewnątrz. Na boku miał zapasowe koło. Wycięte blachy nadwozia, trzy sygnały dopełniały reszty obrazu.

Różycki długo przekonywał właścicieli, aby hotel zmodernizować. Dopiął swego. Wybudował na zapleczu trzy wolnostojące garaże. Dbał też o gości. Ritz miał swojego szofera. Kierowca nakładał czapkę z napisem Ritz i zajeżdżał na dworzec kolejowy. Z pikolakiem wychodzili na peron, tuż przed przyjazdem pociągu relacji Petersburg — Paryż. Gdy z pociągu wysiedli podróżni podchodzili do elegancko ubranych dam, dżentelmenów i pytali:

— Może do Ritz? — Przewóz do hotelu był gratis. Szofer Ritz'a to już była firma. Ubrany w bordową czapkę nosił surdut z białymi guzikami. W lecie białą marynarkę, granatowe spodnie i czarny krawat.

Co jeszcze pamięta pan Zbigniew? Dość dokładnie wnętrze hotelu. Apartamenty miały numerację podwójną. Numery były trzycyfrowe, co miało robić wrażenie wielkiej ilości pokoi. Apartament — „401” i „403” — miały też własne łazienki, telefon, kryształowe radia. Łazienki były wyłożone kafelkami do 2/3 wysokości, koloru kości słoniowej. Wanny były duże, żeliwne, okien tam nie było, jedynie wietrzniki. Na każdym piętrze były łazienki dla gości. Panie przemykały tam ubrane jedynie

w szlafroki. Wpierw ostrożnie wypatrywały, czy aby nikt nie kręci się po korytarzu i dopiero wtedy zdobywały się na odwagę.

Pokoje hotelowe były raczej skromne. Łóżko, szafa, dywanik, stół, zwykle krzesła. Na stole zaścielano serwetę, kładziono paprotnik. Hol był dość wystawny. Ritz miał wspaniałe schody. Balustrady z kutego żelaza, ozdobiono kołami, prętami. Ciekawym akcentem były okucia mosiężne. Dywaniki, chodniki — były koloru zielonego. Ściany zaś koloru morry, u góry miały szlaczek. Malowane ściany przypominały falistą toń. Ściany, dywany, podłogi były idealnie czyste.

Hotel miał także drugą windę — towarową. Kursowała ona pomiędzy kuchnią a restauracją. Kucharze łądowni tam różne frykasy, młody chłopiec często dostawał gratis lody, uwielbiany krem „melba”. Chłopca zapraszały na pokoje starsze panie. Częstoowały go czekoladkami, cukierkami. Zbysio przemykał się też do restauracji. Oto w hotelu mieszkał znany siłacz Breidbard. Z dogiem „Arlekinem” siłacz gościnnie występował w Białymstoku. Breidbard prowadził łaciatego Arlekina na obiady. Sadzał dogą obok siebie na krześle. Pies żarł z misy na tym stole co pan. Nikt nie protestował.

Różyckim żyło się nieźle. Zygmunt studiował we Frankfurcie nad Menem, zdobył dyplom inżyniera-chemika. Potem w Warszawie prowadził firmę I.G.H. Farben — jako jej pełnomocnik na Polskę. Miał nazwisko, pozycję, wiedzę. Był chrześcijaninem. Dlatego to jego upatrzyli i namówili do Ritza właściciele hotelu — Żydzi. Po kilku latach dochodzi pomiędzy nimi do zgrzytów. Do Ritza przyjeżdżają ludzie pohulać. Właściciele więc dają do zrozumienia dyrektorowi, aby przemykał oko na ekscesy gości. Nie zgodził się. Złożył dymisję i przeszedł do pracy do miejskich Wodociągów.

Niewielu już żyje ludzi, którzy pracowali czy bywali u Ritza. Wielu jednak seniorów grodu słyszało coś o tym obiekcie. Tak zrodziła się legenda, która właściwie już toczy się własnym życiem. Białostoczanie nawet nie zdają sobie sprawy jak mocno Ritz wplótł się w ich życie. Oto przykład.

Pani Alicja Chwieśko urodziła się w roku 1910. Wyszła za mąż w roku 1937. Jest Białostoczką od urodzenia. Twierdzi, że w hotelu Ritza nigdy nie była. Ale czy na pewno? O Ritzu przed wojną słyszała wiele. Panie i młode panienki szeptały, że łatwo w tym gmachu zabłądzić. Tyle jest korytarzy, pokoi i zakamarków. Rodzice panienek z dobrych domów swoich latorośli nie zabierali tam na obiady. Co najwyżej gościły mężatki, ale tylko pod opieką pana domu.

Stałe bywalczyńnie u Ritza — miały złą opinię. W mieście uważano, że wysiadują tam w kawiarni tylko „puszczalskie”. Dziewczyny — w wieku zamążpójścia — wołały nie pokazywać się u Ritza nawet w obecności ciotki przyzwoitki. Jedynie opieka taty, mamy, czy narzeczonego uwalniały od plotek.

Co robiła panna, gdy jednak przyszło jej odwiedzić tajemniczy przybytek? Wpierw do domu pukał kawaler i prosił rodziców o zgodę na towarzyszenie skromnej dziewczynie. O wynegocjowanej godzinie, i to co do minuty — należało dziewczę odprowadzić do domu. Mama kazała kandydatowi uroczyście przyrzec, że taką jak widzi, taką też odprowadzi do domu.

Dlatego Alicja na tańce chodziła do „Hajmersa”. Był tam skromny bufecik z ciastkami, oranżadą. Często odwiedzała cukiernię Maszczyńskiego przy zbiegu ul. Żwirki i Wigury oraz Pałacowej. Smakowały jej łakocie na składzie „Turka”, gdzie bracia Makiedońcy serwowali pyszną buzę (przypominającą w smaku kwas chlebowy) oraz chałwę, długą jak kiełbasa.

Alicję na zabawę u Ritza nie stać było, podobnie jak jej rodziców. Tym-

czasem jej familia do najbiedniejszych nie zaliczała się. Alicja — wtedy jeszcze panna Jaświłkówna, mieszkała z rodzicami przy ul. Jurowieckiej 50. Mieli tam trzy domy. Rodzice jej — Marcin i Amelia trzymali 1-piętrowy drewniak, połączony z murowańcem. Po wojnie murowaniec zabrało MPK na przystanek autobusowy. Ale przed wojną wolne mieszkania Jaświłkowie wynajmowali Żydom. Pan Marcin pracował na chleb w fabryce kapeluszy u Nowika. Był tam majstrem. Miał cztery córki, musiał zatem gromadzić grosz na posag dla panien.

W plotkach o Ritzu było wiele prawdy. W gmachu działały „gabinety”. Za ścianą sali balowej były trzy wolne pokoje. Można było je wynająć. Kelner donosił tam zamówione dania, słychać było doskonale muzykę. W gabinetach działy się rzeczy srośne i poważne. Tutaj załatwiano poufne interesy, grano w karty na grube pieniądze. Tam też przemykały żony notabli (nawet prezydentowa) na spotkania z przyjacielem. Ściany nie miały uszu! Zdarzało się, że lokalik wynajmowali narzeczeni, aby wyrąbać sobie prawdę prosto z mostu. Po takiej rozmowie kawaler wychodził wściekły jak cytryna, panienska miała zaczerwienione oczy.

W coctailbarze rej wodziły fordanserki. Można było taką dziewczynę poprosić do tańca, do stolika, postawić jej wino, koniak. Były miłe, towarzyskie, namawiały gości do zabawy. Miały swój procent od utargu kelnera u wesółych panów przy stoliku. Fordanserki prostytutkami nie były. Nie były zatem pod opieką policji, nie miały czarnych książeczek, nie miały obowiązku badań lekarskich przed chorobami „W”. Kiedy gość się autentycznie spodobał dziewczyna dawała się poderwać. Niektóre przemykały do „gabinetu”. Fordanserki były piękne. W jednej z nich, z pochodzenia Węgierce, zakochał się szef restauracji. Gdy żona właściciela dowiedziała się o romansie męża, popełniła samobójstwo. Afera była sensacją miasta.

Starsze panie nie nudziły się podczas zabaw. Do tańca zapraszali je żigolacy. Przystojni, elegancko ubrani chłopcy czarowali damy. Panie dyskretnie wsuwały chłopcu kilkuzłotowy banknot, szczerzy bywali także opiekunowie pań. Z żigolakiem można było potańczyć do woli, ale nie wypadało pokazać się na prywatnym przyjęciu.

Tajemnicą Ritzu, o czym wiedziało tylko grono wtajemniczonych, były uciechy czysto męskie. Dżentelmeni homoseksualiści mieli tutaj swoich żigolaków. Grupa 7— 9 chłopców działała w konspiracji. O ich istnieniu nie wiedzieli nawet pracownicy Ritzu!

Powróćmy do Alicji Jaświłkówny. Mister Ritz jednak skusił. Pamięta pokazy człowieka-muchy. Wspinający się po gzymisie hotelu śmiałek wzbudzał grozę gapiów i przechodniów. Ludzie krakali, że stanie się nieszczęście, zaraz spadnie, zginie na miejscu. A gdy śmiałek wlaźł na dach gmachu, istotnie wyglądał jak mucha. Brawom nie było końca. Nikt nie szczędził grosza, które skrzętnie zbierał do kapelusza na ulicy mały chłopiec. Mało kto wiedział, że „Mucha” miał licencję zezwalającą na takie „numery”. Poza tym człowiek ten był niesłychanie wygimnastykowany, latami też terminował w cyrku.

W latach 30-tych Alicja poznaje Jana Chwieśkę. Pan Jan próbował sił w żurnalistyce, jako reporter w dziale sportowym lokalnej gazety. Do pracy wciągnął go senior naszych fotografików Piotr Sawicki. Otóż, Sawicki robił zdjęcia, Jan zaś pisał teksty.

Jan Chwieśko pracował w kinie „Graf” znajdującym się w gmachu Ritzu. Jan z kolegą robili tam wszystko. Byli operatorami, bileterami, zamiatali salę. Aby przycisnąć właściciela z wypłatą na znak protestu nieraz nocowali w kinie. Nie było to takie przyjemne, ponieważ pod sceną sali grosowały tabuny ... szczurów.

Do restauracji Jan także nie zachodził. Nie stać go było. U Ritzu był bodajże raz. Odwiedził go brat z Grodna — Józef. Wypadało gościom gdzieś



Komitet Założycielski Towarzystwa Przyjaciół Ritza na spotkaniu statutowym w Sali Rycerskiej Muzeum WP.

zaprowadzić, czymś zaimponować. Tam zamówili barszczyk. Zupę kelner podał im w eleganckich filiżankach. Zapłacili jak na ich kieszeń — słono.

Kto zatem bawił u Ritza? Oczywiście białostocki high life. Oto vis a vis posiadłości Jaświlków była fabryka sukna Marcusa. Firmą rządziło czterech braci. Najstarszy Issak, Muśka, Gerc nazywany też Giercem i Albert — najmłodszy. Marcusy często zachodzili do Ritza ze swoimi damami serca. Muśka związał się z niejaką Bronką Polakiewiczówną. O romansie było głośno w mieście. Polakiewiczowie mieli sklep przy ul. Lipowej, kamienicę z restauracją i niewielkim hotelikiem. W latach 30 umiera senior rodu. Od tej pory wdowa z córką Bronią są częstymi gośćmi u Ritza. Szampan leje się strumieniami. Tuż przed wojną Polakiewiczowie bankrutują, sprzedają kamienicę.

Bawili u Ritza pułkownik Kawelin, oficerowie, bankierzy, fabrykanci. Ale to już osobna historia.

Artykuł jest fragmentem monografii o hotelu przygotowywanej przez autora. Spalony w 1944 roku Ritz nie istnieje. W tym miejscu przy ul. Kielińskiego stoją armatki (na skwerku vis a vis Muzeum Wojska). Ale pamiętać o hotelu nadal jest żywa szczególnie wśród białostoczan starej daty.

Ostatnio zawiązała się inicjatywa założenia stowarzyszenia, które zajmie się przywróceniem miastu starego hotelu. Towarzystwo Przyjaciół Ritza powołało już Komitet Założycielski. Wniosek o rejestrację został złożony w Urzędzie Wojewódzkim w Białymstoku.

Jerzy Tartak

Polemiki

KTO MOŻE PRACOWAĆ W KULTURZE?

Na tak postawione pytanie odpowiedzi w przeszłości udzieliło wielu teoretyków kultury, publikując stosowne prace naukowe. Natomiast, jakim powinien być pracownik i animator upowszechniania kultury dzisiaj — to już sprawa trudniejsza. Kryteria cech osobowościowych współczesnych leaderów życia kulturalnego są na tyle zmienne, na ile zmieniają się warunki społeczno-gospodarcze środowiska, w którym zamierzają oni rozwijać działalność. Do refleksji osobistych w tej kwestii skłoniła mnie red. Olga Pacewicz artykułem „Znaleźć metodę w zamieszaniu”. („Gazeta Współczesna” z 6.IV.br.).

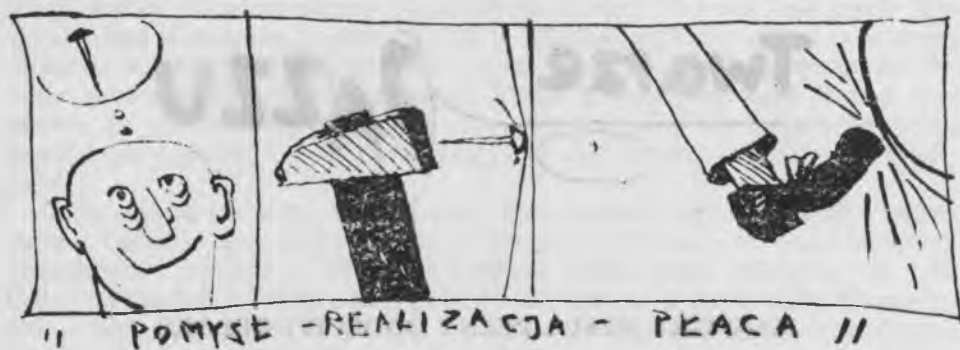
Pracownicy placówek upowszechniania kultury, w tym również i mojej, przez całe lata przyzwyczajeni byli do pracy ukierunkowanej. Za tymi pojęciami kryją się tzw. wytyczne centralne i lokalne dotyczące treści pracy kulturalno-oświatowej w danym roku, w obchodach rocznic, różnego rodzaju akcjach, akademiach i wydarzeniach lokalnych. Tak skonstruowane plany działania tworzyły łańcuch zadań jakie należało wykonać, dobierając właściwe formy i metody ich realizacji. Nie neguję wartości jakie przez lata zostały stworzone w kulturze poprzez ten system, to wydaje się on dzisiaj niedoskonały. Historia rozsądzi co było dobre a co złe; co pozostanie w zapisach archiwalnych, a co w pamięci społecznej; jakie wartości przetrwają do następnych pokoleń.

Popatrzmy teraz na powierzchnię kultury z pozycji dzisiejszej: wiodące hasła reformatorskie — przedsiębiorczość — inicjatywa — samodzielność zaczynają ocierać się o świadomość pracowników kultury.

Przytoczone przez red. Olę Pacewicz, „środki dopingujące tylko dla myślących” rzeczywiście staram się wcielić w bieg codzienności mojej firmy. Podejmuję próbę stworzenia systemu premiowania pracowników wg. zasady „Pomysł-realizacja-płaca”. Pierwszą barierą jaką trzeba pokonać, jest zmiana myślenia, a konkretnie mentalności. Trzeba się przestawić z realizatora cudzych pomysłów na własne; z odpowiedzialności zbiorowej na indywidualną; z wyobraźni podanej przez przełożonego na osobistą. Najtrudniejszym elementem przebudowy świadomości pracowników jest ukształtowanie poczucia samodzielności. Bierze się to stąd, że ta ostatnia cecha jest sumą wszystkich pozostałych i moim zdaniem, najbardziej przydatną przy współczesnych wymogach pracy w kulturze.

Na stwierdzenie red. Olgi Pacewicz „Chciałabym dożyć tej pociechy i stwierdzić, że Kazimierzowi Derkowskiemu udało się wcielić w życie tę szlachetną i przecież logiczną zasadę” — odpowiadam wprost, ja też!

W kwietniu br. w Wojewódzkim Domu Kultury uruchomiliśmy nową formę organizacyjną pn. „Bank Pracy”. Służyć on ma przede wszystkim pracownikom poszukującym pracy w upowszechnianiu kultury z jednej strony, a z drugiej być ofertą kadrową dla instytucji, organizacji i placówek zgłaszających potrzebę zatrudnienia animatorów i specjalistów. Fakt utworzenia, nazywając po imieniu, pośrednictwa pracy, zrodził się w codziennej praktyce. Poprzez ośrodki terenowe otrzymujemy informacje o wolnych miejscach pracy dla instruktorów amatorskiego ruchu ar-



tystycznego, dyrektorów GOK-ów, specjalistów po pedagogice kulturalno-oświatowej. Zdarzają się przypadki ofert z gwarancją otrzymania mieszkania. Nie zamierzamy wyręczać w tym zakresie Wydziałów Zatrudnienia. Celem powołania „Banku Pracy” jest służenie, w miarę szeroką i rzeczową informacją, wszystkim chętnym do podjęcia pracy w placówkach kultury oraz zaspakajanie potrzeb zgłaszanych przez zainteresowane instytucje kultury. Korzystając z okazji zapraszam na ul. Kilińskiego 8, gdzie w budynku WDK wszyscy zainteresowani znajdują stosowne informacje.

Z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych tworzy się przy WDK Zespół Koordynacyjny kapelmistrzów orkiestr dętych. Na pierwszym spotkaniu, któremu przewodniczył mgr Jerzy Śródkowski określono założenia organizacyjne; potrzeby repertuarowe i instrumentalne oraz terminy konsultacji merytorycznych, w poszczególnych orkiestrach. Celem nadrzędnym istnienia Zespołu jest wzajemna pomoc, wymiana doświadczeń, a także uczestnictwo w doskonaleniu warsztatu muzycznego wszystkich pracujących na Białostocczyźnie kapelmistrzów. Siedzibą Zespołu jest obiekt WDK przy ul. Malmeda 10.

Kazimierz Derkowski

P.S. Od nowego sezonu kulturalnego 1988/89 uruchamiamy „Bank Informacji” o imprezach, potrzebach i ofertach amatorskiego ruchu artystycznego. W sferze projektów jest wydawanie informatora o imprezach.

K.D.

W Nr 2/17/88 „Dyskusji” w moim tekście „Fakty i anegdoty” przedstawiłem sytuację, jaka zdarzyła się mgr Jerzemu Szczuckiemu podczas „Publicystyki '77” w kinie „Studio”. Wobec ostrego protestu bohatera tego zdarzenia, dodaję, że faktycznym sprawcą zachowania mgr Jerzego była niesprawna aparatura. Podejrzewam, że w podobnej sytuacji zrobiłbym to samo co wspomniany bohater.

Z poważaniem — **KMD**

Twarze JAZZU

JEGO GRA MIAŁA PEŁNY ODDECH I RELAKS

W swojej książce „Wszystko jest poezją” Edward Stachura pisze m.in.: „Tarnawatka Cmentarz na wzgórzu. Nie szukałem długo, w blasku dnia, świeżego grochu z wbitą w ziemię tabliczką:

Mieczysław Kosz
muzyk jazzowy
żył lat 29
zm. 31.V.1973 r.

... na błękitnie rozsiane były tu i tam białe nimbusy, jak synkopy w jazzowych tematach granych szczupłymi palcami Mieczysława Kosza.”

Był jednym z najciekawszych polskich pianistów jazzowych. Wydaje mi się, że do moich obowiązków należy zaprezentowanie tej wybitnej postaci wszystkim tym, którzy zainteresowali się jazzem już po śmierci Kosza, gdyż starzy koneserzy jazzu pamiętają tę niepozorną postać i jego znakomitą muzykę.

Mieczysław Kosz urodził się 10 lutego 1944 roku w Antoniówce (woj. zamojskie). Ojca nie znał, bowiem zmarł on w 1947 r. a jego wychowaniem zajęła się matka. Z rodzeństwa miał tylko starszego, przyrodniego brata — Jana. Żył i mieszkał w bardzo złych warunkach. Wszystko to miało niewątpliwie wpływ na jego zdrowie i być może ujawnienie się w późniejszym okresie choroby oczu, która ostatecznie spowodowała utratę wzroku. Stracił wzrok prawdopodobnie pomiędzy 12 a 14 rokiem życia. Już jako pięcioletnie dziecko został umieszczony w przedszkolu Zakładu dla niewidomych w Laskach, gdzie przebywał dwa lata. Odpowiednia komisja po przeprowadzeniu testów wytypowała go do szkoły muzycznej. W ten sposób w 1952 r. znalazł się w Państwowej Szkole Muzycznej dla Niewidomych w Krakowie. Był jednym z pierwszych jej uczniów. Uczyl się grać na fortepianie w klasach pań: prof. Olgi Axeull oraz prof. Romany Witeszczakowej. Ta ostatnia była jego nauczycielką aż do ukończenia przez niego edukacji muzycznej. W 1959 r. został przyjęty do Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej dla widzących, którą ukończył w 1964 r. z wynikiem bardzo dobrym.

Bezpośrednio po ukończeniu PSSM wobec trudnych warunków materialnych oraz śmierci matki Kosz podjął pracę zarobkową jako pianista w kawiarni „Literackiej” w Krakowie. W tym czasie odwiedzał też kluby: „Helicon” i „Pod Jaszczurami”, gdzie grywał w trio z Bogdanem Wellsem i Wiktorem Perellmuterem. Były to jego pierwsze kontakty z muzyką jazzową. Wkrótce otrzymał propozycję pracy w Zakopanem i został zaangażowany w kawiarni „Europejska” i restauracji „Morskie Oko”. Na początku 1967 r. zdecydował się na przeniesienie do Warszawy i podjął pracę w kawiarni „Nowy Świat”. Grał tam w trio z Mieczysławem Robakowskim i Bogdanem Halickim.

Wiosną 1967 r. dokonał pierwszego nagrania radiowego, a jesienią wziął udział w festiwalu Jazz Jamboree. Ten moment należy przyjąć jako właś-

ciwy debiut filharmoniczny i międzynarodowy. Podczas kolejnych festiwalu Jazz Jamboree w latach 1968 — 71 ani razu nie zabrakło muzyki Kosza a każdy jego występ był dużym wydarzeniem artystycznym. Pisano wówczas że trio Mieczysława Kosza to synonim najwyższego poziomu, że jest to muzyk dużego formatu wrażliwy na barwę dźwięku, kształtujący własny styl pianistyki jazzowej bardzo intymnej i refleksyjnej.

Oddzielną kartą jego działalności koncertowej były występy zagraniczne i zdobywane tam nagrody. Powszechnie znany jest jego pierwszy zagraniczny występ w Wiedniu (marzec 1968) gdzie odbywał się VII Osterreichisches Amateur Jazz Festival. Ze swoim triem (Jacek Ostaszewski — bass i Sergiusz Perkowski — drums) zdobył I nagrodę w kategorii międzynarodowej. Mniej natomiast są znane inne zagraniczne występy Kosza. W 1968 r. wyjeżdżał jeszcze trzykrotnie. 4 maja wystąpił na Festiwalu Jazzowym w Monchengladbach (RFN), gdzie podczas solowego występu zdobył II nagrodę. W dniach 8 — 11 maja wystąpił na ALBA Regia International Jazz Festival na Węgrzech. W czerwcu wziął udział w II Festiwalu Jazzowym w Montrux w Szwajcarii, gdzie został wyróżniony II nagrodą. Wystąpił wówczas z Romanem Dylągiem — bass i Sergiuszem Perkowskim — drums wykonując parafrazę „Preludium c-moll” Fr. Chopina, „Autumn Leaves” J. Cosmy i „Milestones” M. Davisa. Oto fragment recenzji z tego koncertu zamieszczonej w „Feuille d’Avis de Vevey” z 17 czerwca 1968 r.: „... następnym zespołem było trio polskiego pianisty Mieczysława Kosza dysponującego uderzeniem i techniką prawie tak doskonałą jak Bill Evans, którego wpływowi wyraźnie ulega. Kosz — natchniony improwizator dał dowód prawdziwej odwagi w śmiałej parafrazie „Preludium c-moll” Chopina. Dzięki doskonałej współpracy pełnego wigoru kontrabasisty Romana Dylągi warszawski pianista dał swobodny popis swojej wyobraźni rytmicznej, ograniczonej jedynie przez czas potrzebny na wykonanie utworu...” Dodać trzeba, że na tym festiwalu wystąpiło także trio Billa Evansa, którego muzykę tak uwielbiał.

Dużym osiągnięciem artystycznym Kosza było zaproszenie do Paryża, gdzie w dniach 29 maja — 12 czerwca 1969 r. z powodzeniem koncertował w znanym klubie jazzowym „Cameleon”. Grał z towarzyszeniem muzyków francuskich (Alby Cullaz — bass i Bernard Lubat — drums) uzyskując bardzo dobre recenzje w miejscowej prasie. W 1970 r. Kosz występował w Budapeszcie na festiwalu radiowym, a na początku 1971 r. na festiwalu Jazz Hot Week. We wrześniu 1971 r. koncertował wraz z Bronisławem Suchankiem — bass i Januszem Stefańskim — drums w ramach programu Jazz in der Kammer w Berlinie. Ostatnie zagraniczne koncerty Kosza to występy w klubach Pragi na przełomie 1971/72 w duecie z Suchankiem.

Lata 1968 — 1972 to okres bardzo pracowity dla Kosza. Dużo koncertuje, nagrywa dla radia i telewizji, udziela wywiadów, występuje w licznych audycjach radiowych. Nie można przy tym zapominać, że komponował, musiał przygotowywać się do występów, a był przecież człowiekiem samotnym, potrzebującym pomocy innych osób. Dokonał kilkudziesięciu nagrań radiowych, głównie solo i w trio, ale także w kwartetach (Ptaszyna Wróblewskiego i Remigiusza Filipowicza) oraz w składzie większego zespołu kierowanego przez Ptaszyna. Były to opracowania standardów jazzowych, parafrazy dzieł takich kompozytorów jak Chopin, Brahms, Liszt, Borodin, Schumann czy Gershwin, a także kompozycje własne, m.in. „Przed burzą”, „Relaks flegmatyka”, „Jest już późno”, „Złudzenie”.

Nagrał właściwie tylko jedną płytę i to dosyć późno, bo w marcu 1971, a więc zaledwie na dwa lata przed śmiercią. Jest to płyta „Reminiscence” nagrana wspólnie z B. Suchankiem — bass i J. Stefańskim — drums. Oto co pisał o niej Krystian Brodacki: „... jest skupionym i wrażliwym



łowcą klimatu. Buduje własny świat dźwięków, których blask jest przyćmiony, zasnuty typową dla muzyki Kosza mgłą melancholii..."

W dniu 31 maja 1973 r. przebywał w swoim wynajętym pokoju na II piętrze przy ulicy Pięknej w Warszawie. W godzinach wieczornych wskutek nieustalonych bliżej przyczyn wypadł z okna ponosząc śmierć na miejscu. Pogrzeb odbył się w kilka dni później w miejscowości Tarnawatka koło Zamościa. Pianistę żegnało wielu przyjaciół muzyków.

Lata sześćdziesiąte upłynęły pod znakiem free jazzu, nieco później pojawiają się zjawiska będące załączkami jazzu elektrycznego. Muzyka jazzowa stale poszerza swoje granice, na jej scenie znajduje się miejsce dla wielu stylów. Niektórzy muzycy jak np. Keith Jarrett czy Adam Markowicz koncentrują się na granie jazzu akustycznego nawiązując do tradycji koncertowej wielkich wirtuozów XX wieku. Kosza zainteresowała taka właśnie muzyka. Zainteresowania te wyniósł z pewnością ze szkoły muzycznej. Kosz to talent osadzony w tradycji, jego muzyka jest przejrzysta i klarowna. Charakteryzuje go dbałość o jakość dźwięku, inteligencja muzyczna i talent improwizatorski. W swoich kompozycjach główny nacisk kładł na barwę dźwięku i środki wyrazowe, co dotyczy zresztą wszystkich granych przez niego utworów. Cechą charakterystyczną jego interpretacji było zaledwie sygnalizowanie oryginalnego tematu za pomocą krótkich motywów czy też charakterystycznych współbrzmień, a następnie rozbudowana improwizacja. Nigdy nie kopiował, miał bardzo zróżnicowane i łatwo rozpoznawalne uderzenie oraz oryginalną harmonię. Mówiono o malarstwie muzycznym Kosza. Mateusz Święcicki pisał o nim

„... Kosz posiadał ową niemalże murzyńską, intuicyjną zdolność dawkania muzyki, zdolność pauzowania i wyzyskiwania wybrzmień. Jego gra miała pełny oddech i relaks, a jego ekspresja była silna, lecz niewymuszona, naturalna, bliska tej, jaką spotykamy w grze kolorowych muzyków...”

Apogeum sukcesów artystycznych Kosza to koniec lat sześćdziesiątych. Wtedy to ukazywały się entuzjastyczne recenzje z jego koncertów, których było wiele, głównie w kraju, ale także i za granicą. Szeroka reklama spowodowała, że Kosz chyba nie udźwignął ciężaru sukcesu i początek lat siedemdziesiątych był dla niego spokojniejszy. Mniej koncertował, rzadziej wyjeżdżał za granicę. Z drugiej jednak strony wtedy właśnie uwalniał się od wszelkich wpływów i zaczęła kształtować się wyraźnie jego osobowość artystyczna — jego indywidualność. Często był melancholijny, zadumany, skłonny do stanów nie dających radości. Takie osobowości potrzebują uczucia i uwielbienia, a tego mu brakowało. Miał krótkie i bogate życie. Doznał właściwie wszystkich wrażeń, tzn. powojennej nędzy wsi, tragedii osobistych, trudów nauki i zdobywania wiedzy muzycznej, a także kłopotów związanych z codzienną egzystencją. Nie umiał poradzić sobie ze swoją indywidualnością.

Śmierć młodego człowieka to nieszczęście, śmierć artysty to niepowetowana strata dla kultury. Nie ma wątpliwości że w tym wypadku tak rzeczywiście jest. Odszedł nie wyczerpawszy swoich możliwości i zgodzić się należy z Czesławem Gładkowskim, który napisał: „...jeżeli nawet, zrobiono dla Kosza bardzo wiele to w sumie i tak zrobiono za mało...”

Krzysztof Ostaszewski

ZAKŁADOWE ZESPOŁY GOSPODARCZE

Dążenie człowieka w sposób ciągły nakierunkowane być winno na rozwój własnej osobowości jak również i na pomnażanie dóbr materialnych.

Tylko te dwa kierunki działania złączone razem mogą przynieść oczekiwane rezultaty. Zresztą chyba nie ma innego wyjścia.

Zatem pomnażanie dóbr materialnych i rozwój potencjału gospodarczego poszczególnych zakładów pracy jest nakazem chwili współczesnej.

Naprzeciw tej potrzebie wyszło, jak się wydaje, rozp. R.M. z dnia 4 października 1985 r. w sprawie zakładowych zespołów gospodarczych (Dz.U. Nr 48 poz. 248 z 1985 r. z późn. zm.)

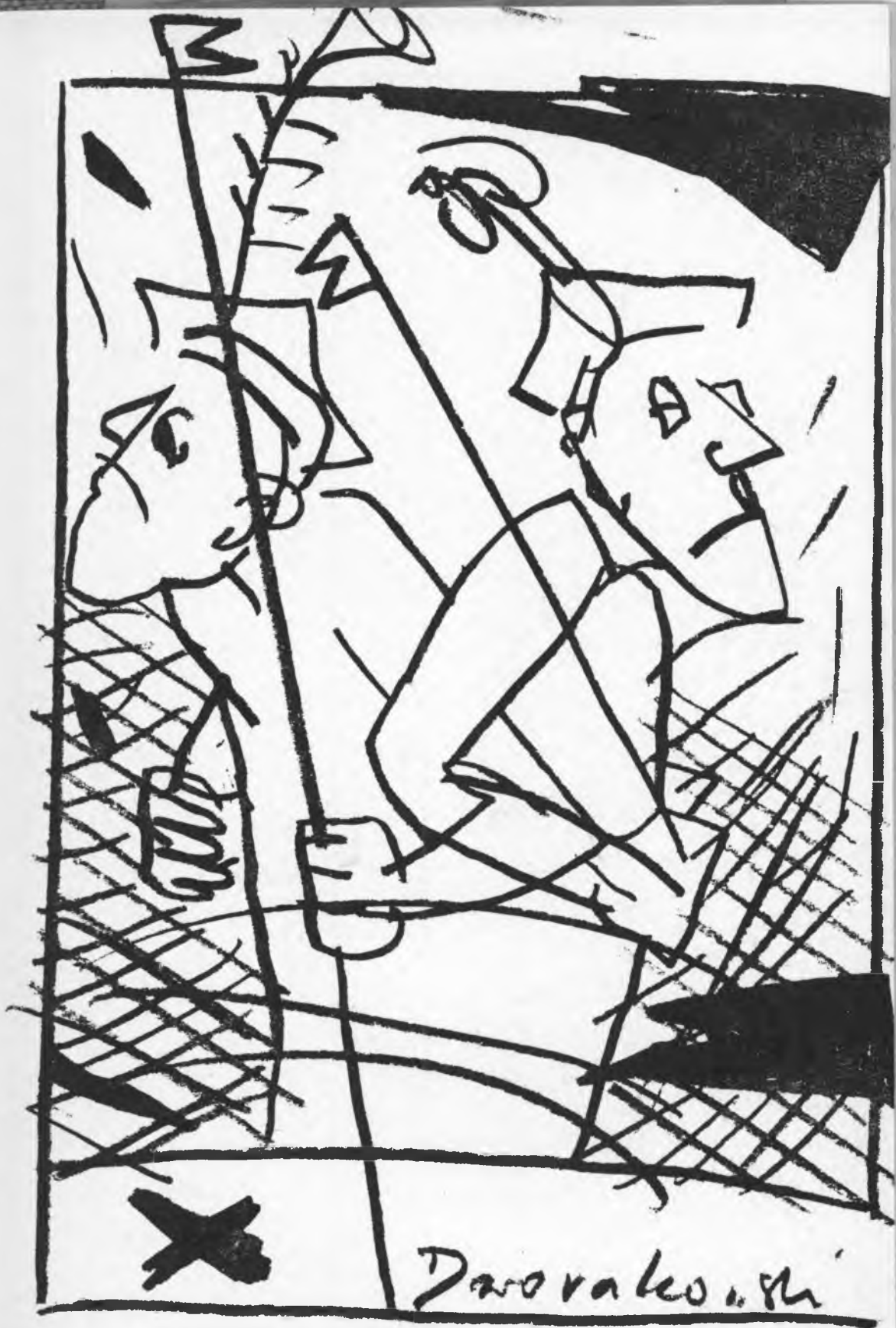
Zakładowe zespoły gospodarcze, jak wynika z treści rozp., mogą być nakierowane na świadczenie m.in. usług dla ludności i jednostek gospodarki społeczno-nej, szczególnie tych usług, które są deficytowe i trudno dostępne na rynku (§ 1).

Powyższe zespoły mogą być tworzone w przedsiębiorstwach państwowych, spółdzielczych, jednostkach i zakładach budżetowych i w innych jednostkach organizacyjnych.

Przy ich tworzeniu należy w szczególności mieć na uwadze następujące zasady:

- członkowie „zespołu” mogą pracować tylko w godzinach poza normalnym, obowiązującym czasem pracy, na wolnych i nie wykorzystanych urządzeniach technicznych (§ 1, ust. 3).
- warunkiem prowadzenia działalności jest zapewnienie uzyskiwania nadwyżki ponad koszty działalności „zespołu” z uwzględnieniem kosztów wykorzystania maszyn i urządzeń (§ 1, ust. 5).
- kierownik jednostki gospodarczej udział pracownika w „zespole” uzależnia od właściwego wykonywania obowiązków służbowych w normalnym czasie pracy (§ 2, ust. 1).
- kierownik „zespołu” wybierany jest przez członków, reprezentuje zespół, zawiera w jego imieniu umowy na zasadach i trybie określonym w k.c. umową z jednostką gospodarczą (§ 2, ust. 3).
- umowa „zespołu” zawiera obowiązek gospodarczej jednostki macierzystej do zabezpieczenia warunków technicznych wykonania zadań, godziny pracy w określonych dniach tygodnia, ilości robót i usług do wykonania w określonym czasie i w odpowiedniej jakości, wynagrodzenia „zespołu” za prace inne, ew. dane, zasady potrąceń wynagrodzeń za straty, zasady odpowiedzialności za pracę i roboty oraz remonty, zakres nadzoru przez jednostkę gospodarczą nad kierownikiem „zespołu”. Umowa oparta o k.c. § 3, ust. 1 — 2.
- wynagrodzenie „zespołu” otrzymuje kierownik, który dokonuje jego podziału między pracowników zgodnie z regulaminem opracowanym przez „zespół” (§ 4, ust. 1 — 2).
- pracownicy mogą pracować zgodnie z kwalifikacjami; nadzór techniczny utrzymuje jednostka gospodarcza, nadzór techniczny odpowiada za ustalenie obsady w sensie fachowości i przydatności pracowników na poszczególnych stanowiskach pracy (§ 5, ust. 1 — 3).
- wartość finansową „zespołu” jednostka gospodarcza księguje oddzielnie (§ 6, ust. 3).
- wynagrodzenia z bezosobowego funduszu płac mogą być przekraczane o wypłaty w granicach ponadplanowych dochodów z tytułu ponadplanowej działalności usługowej (§ 9, ust. 3).
- jednostka gospodarcza odpowiada za bhp pracowników „zespołu” (§ 7, ust. 1).

Kazimierz Konopka



Davarakoshi

